

Nr 37 (1270) 10 IX 1978 R. CENA 6 ZŁ

Pano rama

10 WRZEŚNIA
DZIEŃ KOLEJARZA





WIZYTA EDWARDA GIERKA W WOJEWÓDZTWIE BYDGOSKIM

I sekretarz KC PZPR Edward Gierek odwiedził 30 sierpnia województwo bydgoskie, zapoznając się z osiągnięciami i głównymi problemami społeczno-gospodarczymi regionu.

Na polach wzorowego Państwowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Rolnej w Chwaliszewie Edward Gierek w towarzystwie gospodarzy województwa spotkał się z grupą kombajnistów, pracujących przy sprzącie ostatniego tanu pszenicy.

I sekretarz KC PZPR odwiedził m. in. budowniczych największej polskiej wytwórni sody ciężkiej w Inowrocławiu, był również gościem załogi Huty Szkła „Irena”, która zajęła I miejsce w ogólnopolskim konkursie chemików „Stać nas na lepiej i więcej”.

Na zdjęciu po lewej: I sekretarz KC PZPR Edward Gierek i I sekretarz KW PZPR w Bydgoszczy Józef Majchrzak na polu PGR Chwaliszewo.

Foto: CAF — Langda

ZNIWA W OLSZTYŃ- SKIEM

Gospodarze tegorocznych Centralnych Dożynek — rolnicy województwa olsztyńskiego pracują od świtu do nocy. Na pola Kętrzyńskiego Zjednoczenia Rolniczo-Przemysłowego, znanego w kraju jako „Agrokompleks” wychodzi 200 kombajnów dziennie. Maszyny „Agrokompleksu” obsługują też gospodarstwa spółdzielcze i chłopskie.

Foto: CAF — Uklejewski



SPOTKANIE Z „TRYBUNĄ LUDU”

2 i 3 września odbył się warszawski finał święta organu KC PZPR — „Trybuny Ludu”, kończąc cykl imprez zainaugurowanych w Łodzi i kontynuowanych w Piotrkowie Trybunalskim i Sieradzu. Warszawskie imprezy święta „Trybuna Ludu” były kolejną, siódmą już okazją do spotkania z gazetą, która za kilka miesięcy obchodzić będzie 30-lecie i która na swych łamach upowszechnia politykę partii i nasze wspólne osiągnięcia, podejmuje najżywniejsze dla kraju problemy. Tradycyjnie już święto „Trybuna Ludu” miało charakter wielkiego ludowego festynu (na zdjęciu po lewej).

Foto: CAF — telefoto

SWIĘTO SZKOŁY

4 września rozpoczęli naukę uczniowie szkół ponadpodstawowych. Dzień ten, tradycyjnie już stał się ogólnopolskim Świętem Szkoły. Centralna uroczysta inauguracja nowego roku nauki odbyła się w Gnieźnie.

W liceach ogólnokształcących województwa katowickiego kształcić się będzie 37.600 dziewcząt i chłopców, a w szkołach zawodowych różnych szczebli — 220.000.

Na zdjęciu: początek roku szkolnego w II Liceum Ogólnokształcącym im. Emilii Plater w Sosnowcu.

Foto: Stefania Ciesielska



**Pano
rama**

TYGODNIK ILUSTROWANY Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. Wydawca: Śląskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 40-098 Katowice, ulica Młyńska 1.

NAKLAD: 500 000 EGZ.

NUMER ZAMKNIĘTO: 4 IX 1978

NA NASZEJ OKŁADCE:

Alicja Żerańska, pracownica stacji PKP Jaworzno-Szczakowa.

Zdjęcie: STANISŁAW GADOMSKI

Chleb

Nasze rozmowy codzienne, radio, telewizja i gazety pełne są informacji i rozważań o pogodzie.

Coś w tym jest. Nie tylko dlatego, że kilka kolejnych lat przekonało amatorów słońca o konieczności wyjazdu nad morze – niestety – Czarne – co nie zawsze zgadza się ze stanem naszej narodowej kasy. Także, głównie dlatego, że powtarzalność letnich kłopotów z pogodą źle odbija się na zbiorach polskiego rolnictwa, a to jest daleko ważniejsze niż opalenieżna panny Zuzi.

Ta właśnie powtarzalność nasuwa myśl o potrzebie traktowania lata deszczowego i chłodnego nie jako bożego dopustu zaskakującego niewinnych ludzi – lecz jako zjawiska normalnego.

Takie podejście da wiele nie tylko w sferach potencjalnych letnich urlopowiczów (brak rozczarowania jest połową szczęścia) lecz zwłaszcza w sferze gospodarczej.

Do lata zimnego i deszczowego można się po prostu dostosować, przygotować. Znam kraje o rolnictwie wyżej niż nasze rozwiniętym, gdzie mokre i chłodne lato nikomu nie przeszkadza, ponieważ wiadomo, że tak będzie. My zaś – sądząc po niektórych wypowiedziach – zachowujemy się jak byśmy leżeli na południe od Alp: deszcze w lecie znaczą kłeskę żywiolową.

Podejrzewam, że tylko w opowieściach babuni lato było zawsze suche i upalne – przynajmniej w naszym kraju określonym naturalnymi granicami Bałtyku, Tatr, Odry i Bugu. Mniej więc zaufania w przychylne siły przyrody, a więcej we własne przewidywania i organizację – tak wydaje się brzmieć jedynie rozsądny wniosek ze wszystkich prognoz dla każdego gospodarstwa. Chodzi o nasz chleb.

Właśnie: chleb. Już chyba 5 lat mija od czasu, gdy wykorzystanie chleba i jego resztek stało się tematem ogólnonarodowym. Temat od czasu do czasu powraca, lecz głównie po to, aby stwierdzić jak opornie postępuje naprzód rzecz sama. Batalie o pojemniki na suchy chleb przyniosły w miastach pewne rezultaty: najczęściej funkcje te spełniają ustawione na klatkach schodowych kartony. Lecz ludzie uprzątający te miasta ciągle opowiadają o tonach chleba padających codziennie na wysypiska śmieci.

Wiadomo także, że wykorzystanie suchego chleba bynajmniej nie zostało rozwiązane powszechnie i rozsądnie. Ze bywają często trudności z jego zebraniem, przetworzeniem, wreszcie „upchnięciem” jakimś użytkownikowi. Wiadomo każdemu zjadaczowi chleba, że nasz przemysł piekarniczy nie wyszedł naprzeciw narodowej potrzebie oszczędności: bochny są ciągle wielkie, a jakość chleba mierna – schnie szybko, kruszy się i dlatego jest wyrzucony. Była mowa o zmianach w tej dziedzinie, na łamach PANORAMY deklarowali się stratedzy polskiego piekarnictwa...

Nie chcę już powoływać się na piękną polską tradycję szacunku dla chleba, zabraniającą marnowania choćby odrobiny. Przypomnę jeno, że jest ten szacunek wyrazem poważania ludzkiej pracy – znoonej niezależnie od pogody.

Myślę, że trzeba powiedzieć jeszcze więcej: szacunek dla chleba jest także związany z naszą socjalistyczną ideologią, dla której praca ludzka jest wartością najwyższą. Rozwiązanie – lub też nie – zagadnienia oszczędzania chleba jest nie tylko kapitalnym problemem gospodarczym dla narodu importującego co rok miliony ton zbóż – jest także długofalowo ważką kwestią społecznego wychowania.

Marnować chleba w tym kraju nie wolno nikomu. W rolnictwie – to oczywiście, bez względu na pogodę. Trzeba, aby równie oczywiście było to w każdym naszym gospodarstwie, w całym naszym gospodarstwie wspólnym.

JWG

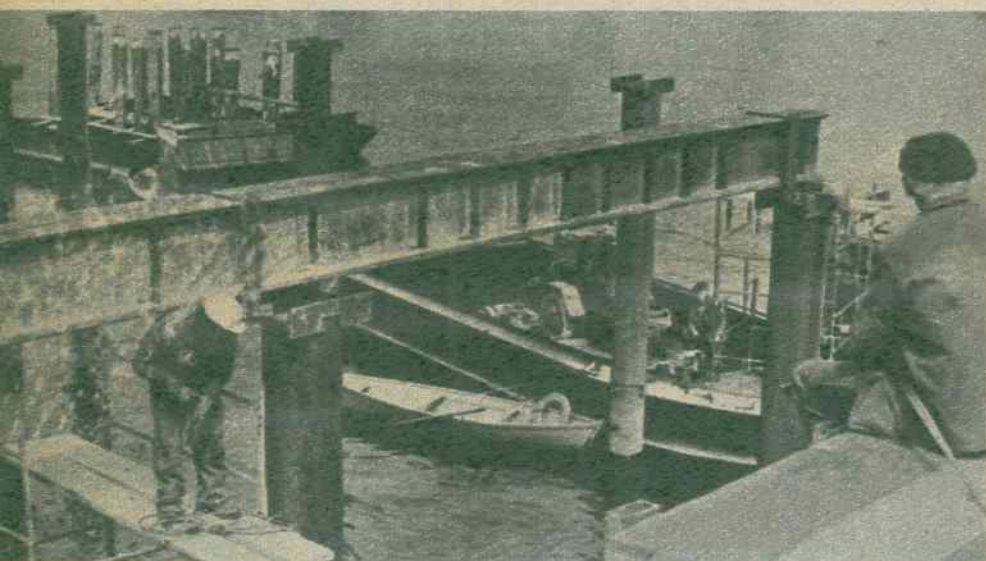


W 39 ROCZNICĘ AGRESJI HITLEROWSKIEJ NA POLSKĘ

W 39 rocznicę napaści hitlerowskiej na Polskę odbyły się w całym kraju uroczystości poświęcone pamięci tych, którzy zginęli w walkach o wolność naszej Ojczyzny. Walki we wrześniu 1939 r. stały się symbolem niezłomnego patriotyzmu Polaków i żołnierskiego bohaterstwa.

Na zdjęciu: Bitwa nad Bzurą (9–18 IX 1939) — największa i najkrwawsza w całej kampanii wrześniowej.

Zdjęcie: ARC



BUDOWA TRASY TORUŃSKIEJ

W Warszawie na Trasie Toruńskiej trwa budowa mostu, łączącego prawo- i lewobrzeżną część stolicy. Nowy most usprawni komunikację między Bielanami i Żeraniem. Zakończenie inwestycji, która powstaje przy wydatnej pomocy wojska przewidziane jest na rok 1980.

Na zdjęciu: prace przy montażu mostu roboczego.

Foto: CAF — Rosiak

BARWNI I WESOŁO

Region sądecki jest szczególnie znany ze swej aktywności nie tylko gospodarczej, lecz również kulturalnej. Właśnie teraz, jesienią, odbywają się na Sądectwie imprezy prezentujące inicjatywy tego regionu i ludzi z nim związanych. Jedną z takich imprez był niezwykle interesujący festyn zorganizowany w Krynicy przez redakcję „Dziennika Polskiego”.

Na zdjęciu: kapela z Nowego Sącza.

Foto:
J. Pieśniakiewicz



SZKLANKA WISŁY

**W KAŻDYM LITRZE WODY POBRANEJ Z WISŁY
PONIŻEJ UJŚCIA PRZEMYSŁY ZNAJDUJE SIĘ
24,4 MILIGRAMA ZANIECZYSZCZEŃ
ORGANICZNYCH, 87,5 MG ZAWIESINY,
518 MG CHLORKÓW, 249 MG SIARCZANÓW,
0,04 MG FENOLI, 0,58 MG DETERGENTÓW
I 2,86 MG ŻELAZA.**



W BRATNICH KRAJACH

ZSRR: Aktualnie z zagłębia orenburskiego pochodzi dziesięć procent całego ogromnego wydobycia gazu ziemnego ZSRR. Jest to ponad 30 miliardów metrów sześciennych gazu rocznie. Jednakże geologów interesują te rejonny także z innych powodów. Zalegają tu bowiem pokłady siarki rodzimej dużej czystości. W pobliżu Orenburga znajdują się bogate złoża wysokoprocenowych rud żelaza — wykorzystuje je uralski okręg przemysłowy. Również niedaleko, bliżej Morza Kaspijskiego rozciągają się tereny ropoślone, które nazwano nawet „drugim Baku”.

CSRS: Rozpoczął pracę pierwszy w tym kraju cyklotron izochroniczny. Urządzenie to służyć będzie do badań nad strukturą jądra atomowego, a także do otrzymywania radioizotopów lekkich pierwiastków: fluoru, polasu, indu i jodu. Radioizotopy te potrzebne są w medycynie, rolnictwie i biologii. Urządzenie jest dziełem naukowców z Instytutu Fizyki Jądrowej Czechosłowackiej Akademii Nauk w Rež kolo Prahy.

WĘGRY: Na Węgrzech 12 tys. uczniów kształci się w 25 średnich szkołach UNESCO. Włączone zostały one 21 lat temu do realizacji eksperymentalnego programu UNESCO. Program kształcenia nauczycieli — zgodnie z ostatnią uchwałą Ministerstwa Oświaty WRL — zawierać będzie tematy służące idei wzajemnego zrozumienia między narodami. W węgierskich szkołach UNESCO tematyka ta realizowana jest zarówno na lekcjach, jak i podczas zajęć pozaszkolnych. Podobne metody zostały opracowane m. in. w Danii, Szwecji i Polsce.

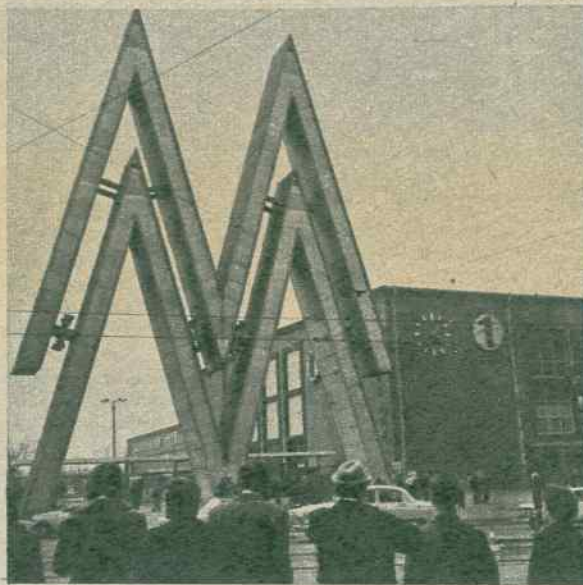
BULGARIA: Na kolejną wyprawę wyruszy niebawem para bułgarskich żeglarzy — Julia i Donczo Papazowowie. Na jachcie polskiej konstrukcji wypłyną w rejs dookoła świata. Celem podróży są pomiary zanieczyszczenia oceanów, a także liczne testy i próby psychofizjologiczne dla programu „Interkosmos”.

Dotychczas bułgarscy żeglarze odbyli cztery wyprawy naukowe, podczas których prowadzili badania nad możliwością przystosowania planktonu do celów spożywczych, reakcjami żeglarzy na niebezpieczeństwo, kontrolowali także stan zanieczyszczenia Pacyfiku.

ZSRR — SYRIA: PRZECIW SEPARATYSTYCZNYM UKŁADOM

W Związku Radzieckim przebywał z oficjalną wizytą przyjaźni wicepremier i minister spraw zagranicznych Syrii, Abd El-Halim Chaddam. Został on przyjęty przez premiera Aleksieja Kosygina. Minister spraw zagranicznych ZSRR Andriej Gromyko i Abd El-Halim Chaddam przeprowadzili rozmowy, w których główną uwagę zwrócono na rozwiązanie problemu bliskowschodniego. Związek Radziecki — stwierdził minister Gromyko — ze szczególną uwagą śledzi rozwój wydarzeń w bezpośrednio z nim sąsiadującym regionie świata. Związek Radziecki i Syria odrzucają koncepcję częściowych, separatystycznych układów i będą konsekwentnie dążyć do likwidacji skutków izraelskiej agresji, a także do uregulowania problemu bliskowschodniego w sposób odpowiadający interesom wszystkich narodów tego regionu.

Na zdjęciu: tak wyglądają ulice libańskich miast po izraelskich nalotach — napięcie na Bliskim Wschodzie nie słabnie.



NRD: SPOTKANIE HANDLOWCÓW ŚWIATA

Na Międzynarodowych Jesiennych Targach Lipskich, które trwają od 3 do 10 września br. 6 tysięcy wystawców z blisko 50 krajów prezentuje swoje wyroby. Wśród eksponowanych towarów znajdują się maszyny i urządzenia służące inwestycjom, a także artykuły konsumpcyjne.

Do czołowych wystawców należą: NRD (2800 zakładów i przedsiębiorstw) i Związek Radziecki, który na 12 tys. m² powierzchni targowej prezentuje towary 29 przedsiębiorstw handlu zagranicznego, szczególnie bogato eksponując dorobek Moldawskiej SRR. Polskę reprezentuje w Lipsku 20 przedsiębiorstw handlu zagranicznego — demonstrujemy maszyny budowlane i drogowe, włókiennicze i poligraficzne, a także wiele wyrobów przemysłu lekkiego.

Na zdjęciu: tereny targowe w Lipsku.

Zdjęcia: CAF — ADN, Unifax i ARC

REFLEKSJE

Rozwój

Bank Światowy opublikował po raz pierwszy w swej historii raport o światowych problemach rozwojowych. Pod tą ładnie brzmiącą nazwą kryje się mniej piękna rzeczywistość: teraźniejsze i przyszłe położenie gospodarcze krajów ekonomicznie zacofanych, zwanych zazwyczaj, gwoźli przyzwoitości, krajami rozwijającymi się.

Czy kraje te będą się w najbliższej przyszłości rozwijać i czy mają po temu realne warunki? Oto pytanie, na które stara się odpowiedzieć raport Banku Światowego. I stwierdza, że trudności gospodarcze krajów rozwijających się będą w najbliższym dziesięcioleciu znacznie większe niż w minionych 25 latach. Gdyby nawet miano się ograniczyć do utrzymania obecnego, przeważnie niedostatecznego tempa rozwoju — to i tak wymagałoby to dopływu znacznie większej ilości kapitałów i środków z krajów wysoko uprzemysłowionych, niż ma to miejsce obecnie. Równocześnie jednak z poszukiwaniem tych kapitałów i środków kraje rozwijające się walczyć muszą z narastającymi ostatnio, a wznoszącymi przez kapitalistyczne kraje rozwinięte barierami protekcjonistycznymi, utrudniającymi eksport na rynki światowe.

Najnowszy rozwój sytuacji gospodarczej kapitalizmu odbił się niekorzystnie na możliwościach eksportowych krajów rozwijających się. W roku

1975 import tych krajów z wysoko rozwiniętych obszarów kapitalistycznych wynosił 123 miliardy dolarów — zaś eksport jedynie 26 miliardów dolarów. W roku bieżącym ta rozpiętość pogłębiła się znacznie.

Zwiększenie ilości kredytów w minionych latach uzależniło kraje rozwijające się od bogatych kapitalistycznych kredytodawców. W coraz większym stopniu przypisują oni sobie prawo do ingerencji w wewnętrzne sprawy młodych, ubogich państw. Z drugiej zaś strony — kredyty stały się obecnie trudniej dostępne, a są one warunkiem rozwoju gospodarek krajów rozwijających się.

Fachowcy z Banku Światowego obliczają, że zapotrzebowanie krajów rozwijających się na kapitał netto (bez obsługi dotychczasowych kredytów), które w roku 1975 wynosiło 25 miliardów dolarów — wyniesie 78 miliardów w roku 1985. Równocześnie przypuszcza się, że pomoc gospodarcza rozwiniętych krajów kapitalistycznych dla krajów rozwijających się wyniesie w roku 1985 najwyżej 44 miliardy dolarów — a i tę kwotę traktuje się jako niepewną.

Bogactwo rozwiniętych krajów kapitalistycznych powstało z wiekowej brutalnej eksploatacji Afryki, Azji, Oceanii, Ameryki Łacińskiej — ziem i narodów, które dziś wkraczają na drogę rozwoju. Naturalny obowiązek pomocy gospodarczej

spoczywa dziś na krajach-eksploatatorach. Lecz wbrew zaleceniom ONZ nawet państwo tak bogate jak USA nie spróbowało wydatkować na ten cel zalecanych 2 procent od rocznego dochodu narodowego — wydając tylko 0,22 procent!

Raport Banku Światowego przewiduje, że jeśli nic radykalnie się w świecie nie zmieni, to bezwzględna nędza jeszcze w roku 2000 obejmować będzie co najmniej 600 milionów ludzi. Nędza — to znaczy niedożywienie, bezdomność, brak czystej wody, brak urządzeń sanitarnych, brak wykształcenia, opieki zdrowotnej, bezrobocie.

Jedyną drogą do zmiany tej sytuacji widzi Bank Światowy w zmianie stosunków w międzynarodowym podziale pracy i wymianie towarowej. Pierwszym warunkiem jest tu odpowiednie strukturalne dopasowanie wysoko rozwiniętych przemysłowych krajów kapitalistycznych do potrzeb rozwijających się obszarów. Oznacza to przede wszystkim stworzenie stałych rynków dla eksportu krajów rozwijających się, zniesienie wszelkich barier protekcjonistycznych, łatwiejszy dostęp do kapitału i technologii.

Z raportu Banku Światowego przebija słuszna obawa, że w warunkach wstrząsnanego kryzysami kapitalistycznego świata rozwój taki nie będzie możliwy.

gad

NIKARAGUA: POWSTANIE LUDOWE

Zamieszki w Nikaragui przybrały rozmiary i charakter ludowego powstania przeciwko dyktaturze Anastasio Somozy. Jak relacjonowaliśmy przed tygodniem, rozpoczęły się one opanowaniem przez partyzantów Frontu Wyzwolenia im. Sandino gmachu parlamentu w Managui i uwolnieniem więźniów politycznych. Następnie proklamowano w kraju strajk powszechny. W różnych częściach Nikaragui doszło do zbrojnych starć między ludnością, a oddziałami gwardii narodowej.



Powazniejsze walki toczyły się w trzecim co do wielkości mieście kraju — Matagalpie, która po opanowaniu przez powstańców została zbombardowana przez lotnictwo wojskowe. Ujawniono także wojskowy spisek przeciwko Somozie, co pociągnęło za sobą liczne aresztowania oficerów i żołnierzy gwardii narodowej.

Także duchowieństwo katolickie Nikaragui wypowiada się przeciwko dyktaturze Somozy, popieranej jedynie przez USA — jak o tym świadczy opublikowany list prezydenta Cartera.

Na zdjęciu: odlot z Managui wenezuelskiego samolotu — na jego pokładzie partyzanci, uwolnieni więźniowie polityczni i grupa zakładników.



AFRYKA: RASISTOWSKI TERROR

Praktycznie każdego dnia powiększa się liczba ofiar rasistowskiego terroru w Rodezji. Niedawno doniesiono, że w Salisbury rozstrzelano 82 czarnych Rodezyjczyków podejrzanych o udział w partyzantce Zimbabwe.

Walka Patriotycznego Frontu Zimbabwe przybiera na sile. Biała mniejszość traci pewność siebie — co miesiąc tysięcy białych opuszcza Rodezję.

W miastach przybywa białych uciekinierów z okęgów wiejskich. Ian Smith jednak nie zamierza odstąpić od swojej polityki

terroru. Od salw policyjnych zginęło niedawno 4 górników kopalni miedzi w Mangula, ofiarą padło także 13 misjonarzy. Akcje partyzantów i wpływy Patriotycznego Frontu Zimbabwe są jednak coraz silniejsze. „Nie ma w tym kraju miejsca dla żołnierzy, którzy popełnili bestialskie okrucieństwa” — oświadczył niedawno jeden z przewodniczących Frontu, Joshua Nkomo.

Na zdjęciu: uzbrojeni żołnierze oddziałów Smitha.



Amerkańscy turyści w RFN: — Pomóżcie nam wrócić do domu! Prosimy o datki... Najchętniej w tutejszej walucie...

(„International Herald Tribune”)

Konfrontacja czy współpraca

JANUSZ REITER

Ubiegłoroczny rekord nie utrzymał się długo. Amerykańska Izba Reprezentantów ustanowiła nowy, za cenę prawie 120 mld dolarów. Taką sumę przeznaczyci waszyngtońscy kongresmeni na cele wojskowe w przyszłym roku budżetowym. Więcej niż domagała się administracja, przelicytowana tym razem przez połączone siły kongresowej prawicy i tzw. kompleksu wojskowo-przemysłowego. Głosowanie nad budżetem wojskowym jest pouczającym widowiskiem — mówi ono o zamiarach politycznych i panujących tendencjach więcej niż gładkie słowa wypowiediane przez oficjalne osobistości.

W tym wypadku zresztą zamiarów nie trzeba było odgadywać. Zgodnie z prawidłowością obserwowaną od wielu lat, uchwalenie nowego budżetu zostało poprzedzone akcją propagandową, inspirowaną i wspomaganą przez Pentagon i dowódców Paktu Północno-Atlantyckiego. Sam dowódca sił NATO w Europie, gen. Alexander Haig, zabrał głos w tej sprawie, aby oświadczyć, że narasta „niebezpieczeństwo ze strony Związku Radzieckiego” i wezwać sojuszników do „zwiększonych wysiłków obronnych”. Nawet jeśli wziąć poprawkę na zawodowe spaczenie, każde słowo dowódcy Paktu przemawiać głosem Kasandry, trudno nie dostrzec, że jest to sposób myślenia obowiązujący dziś również w Waszyngtonie.

Nasilenie zbrojeń jest jednym z ulubionych postulatów zwolenników tzw. twardej linii w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Jednym z wielu, obok żądania sankcji ekonomicznych, wstrzymania wymiany naukowej, czy nawet zbojkotowania igrzysk olimpijskich w Moskwie. Mało tego — jeden z senatorów Partii Demokratycznej uchodzący za liberała, wezwał wręcz do wstrzymania rokowań o ograniczeniu zbrojeń strategicznych (SALT). Wprawdzie administracja waszyngtońska zapewnia raz po raz, że zależy jej na utrzymaniu dialogu ze Związkiem Radzieckim, ale nie brak dziś w USA liczących się polityków, skłonnych do zerwania rokowań rozbrojeniowych.

Niebezpieczny kurs polityczny obrany przez Stany Zjednoczone — co do tego komentatorzy są zgodni — doprowadził do poważnego kryzysu w stosunkach amerykańsko-radzieckich.

Czyżby doświadczenia okresu zimnej wojny poszły już w zapomnienie — pyta jeden z tygodników zachodnioeuropejskich. Niektóre posunięcia amerykańskie nasuwają skojarzenia ze stylem politycznym lat pięćdziesiątych. I podobnie jak wówczas mogą one przynieść jedynie wzrost napięcia międzynarodowego i pogłębienie podziałów pomiędzy dwoma systemami. Cokolwiek bowiem powiedziałyby się o takiej taktyce politycznej, ma ona jedną zasadniczą wadę dostrzeganą również przez wielu polityków zachodnich: nieskuteczność. Siła stała się w stosunkach pomiędzy dwoma supermocarstwami całkowicie nieprzydatna, co najmniej od czasu, gdy ustabilizowała się równowaga militarna.

Nawiązując dialog polityczny, obie strony przyjęły zasady postępowania, które miały im nie tylko ułatwić porozumienie, ale i pomóc w prze-

zwycięzeniu dawnej nieufności. Łamanie tych zasad nie tylko prowadzi do pogorszenia tzw. klimatu politycznego, ale i stawia pod znakiem zapytania przyszłość samego dialogu amerykańsko-radzieckiego.

Skutki takiego postępowania dają o sobie znać natychmiast. Najczulej reagują na wszelkie zmiany polityczne rokowania rozbrojeniowe. Zwiększają się też wydatki na budowę nowych rodzajów broni i udoskonalenie już istniejących. Jeśli ta tendencja utrzyma się, istnieje niebezpieczeństwo, że negocjatorzy rozbrojeniowi pozostaną daleko w tyle za wzrostem ilościowym i postępem jakościowym zbrojeń.

Dwa supermocarstwa dysponują dziś 96 proc. potencjału nuklearnego. Stąd też ich szczególna odpowiedzialność za bezpieczeństwo światowe. Mogą one narzucić całemu światu nowy wyścig zbrojeń, lecz mogą również przybliżyć odległy wprowdziej, lecz przeciwieśny cel: całkowite i powszechne rozbrojenie. Nic dziwnego zatem, że nowy kurs polityki amerykańskiej, sprzyjający raczej konfrontacji niż współpracy, budzi niepokój w wielu stolicach świata.

Nawet zachodnioeuropejscy sojusznicy nie oszczędzili Stanom Zjednoczonym surowej krytyki. Republika Federalna Niemiec, najsilniejszy partner amerykański w Europie, zaniechała wprowadzanie ze względów taktycznych, otwartej polemiki z administracją prezydenta Cartera, ale nie zmieniła swego krytycznego poglądu na jego politykę. Trudno, rzecz jasna, nie dostrzec pewnej hipokryzji w stanowisku RFN, która krytykuje często nie tyle istotę, co raczej metodę postępowania Ameryki. Można nawet dopatrzeć się w tym sporze zwykłej rywalizacji politycznej, za którą kryje się sprzeczność niektórych interesów obu państw. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, iż Europa Zachodnia z nieufnością przygląda się niezrozumiałym niekiedy manewrom wykonywanym przez Waszyngton.

Obawa, że kryzys w stosunkach radziecko-amerykańskich może mieć fatalny wpływ na sytuację polityczną w Europie, nie jest zresztą nieuzasadniona. To właśnie w Europie przebiega linia podziału pomiędzy Wschodem a Zachodem. Odprężenie europejskie jest więc szczególnie wrażliwe na wszelkie zakłócenia w stosunkach Wschód — Zachód. Korzyści wypływające z odprężenia żaden z sojuszników USA nie będzie chciał z pewnością poświęcić w imię solidarności z cudzymi, nierealistycznymi celami. ■

Kiedy smakosz bierze w dłoń szklanę napoju, przesuwa nią najpierw parę razy pod nosem i napawa się bukietem czyli zapachem, później lubi unieść ją pod światło i nacieszyć oko klarownością płynu. Jednak szklanki tej wody nie weźmie do ręki ani smakosz ani żaden w ogóle człowiek przy zdrowych zmysłach. A jeżeli, to tylko po to, by dobrze się nad nią zastanowić. Bo skład tej wody jest jakby fotografią Matki Naszych Rzek, „pstrykniętą” w odległości 90 kilometrów od jej źródeł. Zdjęcie jest ostre i bezlitosne, z gatunku tych, które nie oszczędzają najdrobniejszej zmarszczki.

Nadleśniczy Rudolf Sliż pamięta, że jeszcze kilkanaście lat temu pobierano z przepływającej kolo nadleśnictwa w Wiśle Czarnem rzeki wodę, wieziono ją do Krakowa i orzekano po drobnozgowych badaniach, że jest kryształowo czysta. Dzisiaj kręcą się tutaj często zmotoryzowani turyści z GOPu i taszcą do bagażników niczym największy rarytas kanistry pełne wody aby zrobić sobie w domu nareszcie znakomitą herbatę. Ale to jest woda z pobliskich źródeł. Do Wisły nie mają zaufania, bo już nad pierwszymi jej kilometrami rozlokowały się domy wczasowe i tuli się do niej coraz więcej nie budzących sympatii brudasów.

Czasem ludzie, którzy się po prostu zagapili. Tak jak właściciel domku w Wiśle, który zapomniał zakreślić kurek w wannie i to wystarczyło, żeby przelało się małe szambo, a cały brud poszedł do wody. Albo jak człowiek, który był niezwykle zaskoczony, że ktoś tam zauważył niesione rzeczką białe brzuchy martwych pstrągów. Zapomniał na śmierć, że tak, rzeczywiście mławał dom i chyba trochę tych rozpuszczalników i farb popłynęło do wody. Nigdy zresztą nie przypuszczał, że te ryby zaraz tak...

A w Spytkowicach jest masarnia miejscowej Gminnej Spółdzielni. I ma osadnik, a jakże, ale tym osadnikiem nikt sobie nie zaprzęta głowy. Jest po prostu zdewastowany. Kiedy dotarła tutaj kontrola Ośrodka Badań Ochrony Środowiska i stwierdziła, że ścieki wsiąkają sobie w grunt, sięgnięto po mandat. Może nawet odpuścili by winę, bo karanie nie należy do przyjemności, jednak odpowiedzialny za to wszystko człowiek zerknął na władzę pogardliwie i powiedział: „Ja jestem, proszę was, masarzem, a od ścieków jesteście wy”. I to przesądziło, każdy pamięta dobrze, bo to był pierwszy i jedyny do tej pory w województwie bielskim mandat za zanieczyszczenie wód.

Natomiast kierownika punktu dostawy asfaltu w Jasienicy koło Bielska, podległego Rejonowi Dróg Publicznych w Pszczynie, skierowano na kolegium. Stwierdzono, że zniszczono tutaj skarpe rowu melioracyjnego, do którego przepompowano nadmiar wody zanieczyszczonej asfaltem. A ta brudna woda splywa do Jasieniczanki, która wpada do Wapienicy i płynie, płynie aż do Wisły. Więc kierownik został 7 listopada ubiegłego roku skazany przez Kolegium na 500 złotych i zapłacił. Ale co z tego, kiedy w czerw-

cu tego roku okazało się, że asfalt przecieka do potoku znowu.

W takim Nierodzimiu, na przykład, gdzie działa Odlewnicza Spółdzielnia Pracy, bardzo często pojawiają się na wodzie plamy oleju, ale tak się jakoś dziwnie składa, że olej płynie bardzo wcześnie rano i zanim przyjedzie ktoś z inspektorów to już jest po wszystkim.

Nie wszystko jest też zaraz takie jasne. Tak jak z właścicielem domu nad Bystrzanką, która wpada do Białej. Nie trzeba było specjalnie dużo trudu, żeby udowodnić, bo nad samym brzegiem rzeki spoczywała rosnąca każdego dnia kupa śmieci. Ale co z tego, jeżeli winowajca rozłożył bezradnie ręce i powiedział, że on wszystko rozumie, tylko co ma robić, jeżeli zabrano mu kubły na śmieci, które kiedyś miasta systematycznie opróżniały.

Natomiast Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Andropol” w Andrychowie męcząc ściekami rzeczkę Wieprzówkę, która zanim wpadnie do Skawy zasila swoimi wodami stawy Zootechnicznych Zakładów Doświadczalnych w Bugaju i Roztopowicach. Ostatnio alarmowano stamtąd w marcu o masowym zatruciu ryb.

Dyrektor Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska w Bielsku-Białej magister Urszula Dedak była niedawno na fundowanym przez ONZ stażu w Szwajcarii i Szwecji. Jest realistką, myśli kategoriami określonych warunków i wie, że jeszcze nas nie stać na takie rozwiązania w zakresie ochrony wód, z jakimi zetknęła się tam. Ale stać nas na to, żeby, jak tam, poruszyć opinię publiczną, żeby jak w takiej Szwecji, zakład, który zanieczyścił wodę, znalazł się zaraz pod swoistym społecznym pręgierzem.

I tutaj nadchodzi człowieka refleksja: gdyby tak nagle odkryto u nas wszystkie karty, to ile dyrekcji i zarządów musiałoby się oblać rumieńcem wstydu. Bo praktyka wykazuje, że im większy zakład i większa masa zrzuconych do rzeki brudów, tym bardziej sprawa odpowiedzialności jest złożona i trudna do jednoznacznego określenia.

Rzeka Biała, na przykład, przed wpływieniem na teren Bielska jest czysta, zalicza się do wód klasy I, to znaczy przeznaczonych do celów pitnych, przemysłu spożywczego i hodowli ryb łososiowatych. Natomiast kiedy opuszcza Bielsko zawiera już tyle zanieczyszczeń, że nie mieści się już nawet w klasie III (wody przeznaczone do celów przemysłowych i rolniczych). Mimo że już działa nowa oczyszczalnia, która jednak musi być, jak wynika z obecnej sytuacji, niezwykle szybko rozbudowana.

Województwo bielsko-bialskie zrobiło staranny rachunek potrzeb w zakresie ochrony wód. Wynika z niego niezbicie, że musi tutaj powstać 50 oczyszczalni ścieków (24 duże i 26 mniejszych tak zwanych biobloków). Koszt przedsięwzięcia jest niebagatelny, łącznie z kanaliczacją wynosi blisko siedem miliardów. Ale stawka jest jeszcze wyższa: województwo to może dać w przyszłości dwu i półkrotnie więcej wody pitnej niż dotychczas.

Jaka jest cena wody pitnej? Nie podejmowałbym się przeprowadzenia jakiegokolwiek rachunku. To tak, jakby człowiek chciał za wszelką cenę ustalić ile kosztuje życie.

Warto jednak się nad tym zastanowić chociaż przez chwilę. Najlepiej zanim rozpoczniemy sobie w niedzielę nad rzeką myć swój ukochany samochód. Zanim wyrzucimy do rzeki śmieci, które nam są już niepotrzebne z chwilą zakończenia uroczej wycieczki. Zanim rozwalimy o jej kamienie pustą już butelkę.

Magister inżynier Irena Węgrzynowska, która jest kierownikiem Oddziału Wojewódzkiej Inspekcji Ochrony Wód w Katowicach, nie lubi mówić o karach dla najuczciwsiych brudasów. Owszem, średnio każdego roku 40 zakładów przemysłowych województwa katowickiego karanych jest na łączną kwotę około 10 milionów złotych. Ale co z tego, kiedy złotych te, nawet w milionach, nie przywrócą wodzie niczego.

Rekordową karę zapłaciła kiedyś kopalnia „Dębieńsko” (4 miliony), która póki nie dysponowała drugim osadnikiem, wypływała wody popłuczkowe, brudną maź do rzeczki Bierawki (zlewisko Odry, nie Wisły, ale sprawa jakże typowa dla polskich rzek). Warto przypomnieć, że właśnie w tej samej kopalni usytuowano pierwszą w kraju doświadczalną stację odsalania wód dołowych. Kosztowała setki milionów złotych.

Wisła do ujścia Przemszy nazywana jest Małą Wisłą i życiorys jej lat młodzieńczych, patrząc na przeraźliwie ostrą fotografię, jaką jest skład wody pobranej w miejscowości Bobrek, przedstawia się tak:

Uródzona pod szczyłem Baraniej Góry zabiera ze sobą brudy miasta Wisły, FSMowskiej Kuźni w Ustroniu, ścieki przemysłowe i komunalne Skoczowa oraz zakładów mleczarskich w Pruchnej i Ogradzonej. Brani się jednak dzielnie, bo do zbiornika w Goczałkowicach jest czysta, jest jeszcze zaliczana do I klasy. Później spotyka się z Białą, która niesie ścieki z BOPu, i tutaj następuje już degradacja wód królowej naszych rzek. Nie pomoże wiele Pszczynka, która wpada czysta, jeżeli Gosłyń wraz z Mleczną dostarczą ścieki komunalne i przemysłowe z rejonu tyskiego, a później dobieje Przemsza, smutna rzeka tocząca martwe, spracowane przez przemysł wody. Wśród nich Rawę, która jest swoistym symbolem przemysłowej rzeki. Już od źródeł toczy ona więcej ścieków niż wód własnych. A mimo tego oddaje jeszcze usługi starej części huty „Florian”, która pobiera z niej każdej doby kilka tysięcy metrów sześciennych „wody” bo nie ma innego wyjścia.

I każda z tych rzek, Biała, Czarna Przemsza czy Brynica ma jakby dwa swoje okresy. Radosne dzieciństwo, które w chwili zetknięcia z wielkim przemysłem natychmiast przeradza się w bezlitosną starość. Dla Białej Przemszy „smugę cienia” wyznacza papiernia w Kluczach, dla Czarnej miasta Będzin, dla Brynicy potoki, które zamienią się w ścieki czyli Szarlejka, potok Michałkowicki i Siemlanowicki.

Zastępca dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach mgr inż. Edward Sołtysik pokazuje na mapie drogę rzek, które tak pracowicie pochłaniają pomyje wielkiej przemysłowej aglomeracji. Każda z nich (z wyjątkiem Rawy) oznaczona jest na początku kolorem niebieskim (I klasa czystości), z którego najczęściej natychmiast przechodzą w brąz (zanieczyszczenia poza normą).

Smutna mapa. Dyrektor mówi, że mapa się zmieni. Do 1990 roku przywrócona zostanie wszystkim rzekom województwa katowickiego III klasa czystości wody.

Będzie to kosztowało 29 miliardów.

Dyrektor Sołtysik, zapytany o realność tego wielkiego zamierzenia, milczy.

Na mapie nawet najbrudniejsze dzisiaj rzeki przemalowane zostaną tylko na kolor żółty (III klasa).

Ale to jest gra o wszystko.

JACEK CIESZEWSKI

W PIĄTĄ ROZCZNICĘ TRAGEDII

ROK 1970: Pogłębia się kryzys gospodarczy uzależnionego od obcych monopolii Chile. Wzrasta inflacja, bezrobocie obejmuje 350 tysięcy ludzi. Program reform chadeckiego prezydenta Eduarda Frei Montalva nie zostaje zrealizowany. Społeczeństwo skłania się ku radykalnemu programowi lewicy. Rośnie znaczenie utworzonego w 1968 roku Frontu Jedności Ludowej.

4 WRZEŚNIA 1970: Salvador Allende Gossens, wybitny działacz Partii Socjalistycznej zostaje prezydentem Chile — pierwszym w Ameryce Łacińskiej prezydentem socjalistycznym wybranym w wolnych wyborach. Program jego rządu przewiduje przeobrażenia społeczne, gospodarcze i polityczne, zbudowanie w Chile socjalizmu drogą pokojową.

10 WRZEŚNIA 1970: Powstaje nacjonalistyczny ruch „Ojczyzna i wolność” o faszystowskiej orientacji. Prawicową opozycję przeciwko antyimperialistycznemu programowi Allende inspirują i wspomagają Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. CIA finansuje opozycyjne kampanie propagandowe, organizuje sabotaż gospodarczy, montuje spisek wojskowy.

31 GRUDNIA 1970: Rząd prezydenta Allende dokonuje nacjonalizacji złóż węgla.

29 MAJA 1971: Nacjonalizacja złóż saletry.

11 LIPCA 1971: Nacjonalizacja przemysłu miedziowego.

4 MARCA 1973: Ponowne zwycięstwo wyborcze Rządu Jedności Ludowej. W obronie interesów rodzimego i zagranicznego kapitału wzmagają się działania prawicowej opozycji. Operuje ona nasilającym się sabotażem gospodarczym, demagogią i coraz częstszymi aktami zbrojnego terroru.

20 SIERPNI 1973: Prawicowy bunt w lotnictwie. Na razie stłumiony.

11 WRZEŚNIA 1973: Faszystowski zamach stanu w Chile. Dowódcy trzech rodzajów broni i karabinierów obwołują się juntą wojskową z generałem Augusto Pinochetem na czele. W pałacu La Moneda zostaje zamordowany legalny prezydent Salvador Allende. Zwycięska junta wojskowa dokonuje reprzytaczania znacjonalizowanych przedsiębiorstw, zwraca obszarom latyfundiów, wypłaca odszkodowania spółkom zagranicznym. Likwiduje system demokratyczny, za metodę rządzenia przyjmuje terror i masowe represje wobec ludności.

W PIĘĆ LAT PO ZAMACHU: Jedna trzecia klasy robotniczej Chile nie ma zapewnionego minimum egzystencji. Dwie trzecie członków związków zawodowych pozostaje bez pracy. Międzynarodowa izolacja junty. Potępienie na forum ONZ faszystowskiego terroru Pinocheta. Struktura represji pozostaje bez zmian — oświadcza Międzynarodowa Komisja Prawników.



Na ulicach Santiago ploną książki. Marks, Engels, ale i Stendhal, Mann, Dostojewski...

Zdjęcia: ARC

Są w Polsce 22 chilijskie rodziny i kilkoro samotnych. Przyjechali tu po przewrocie z 11 września 1973, lub później. Trzydziestu tych, którzy w dniu zamachu schronili się w polskiej ambasadzie lub przyjechali potem w ramach łączenia rodzin. Są tu od lat pięciu, czterech, trzech. Wszyscy mówią po polsku. Pracują, studiują, robią doktoraty. Ich dzieci chodzą do polskich szkół. Parę osób ożeniło się, bądź wyszło za mąż. W Polsce urodziło im się czworo dzieci. Mówią, że Polska jest ich drugą ojczyzną, ale Chile — pierwszą i tam wrócą.

Rozmawiam z dwoma małżeństwami: Alejandra i Mario Silberman oraz Maria i Carlos Cerda. Ci pierwsi — członkowie Komunistycznej Partii Chile. Drugi należą do MAPU-oc*).

Mario Silberman kieruje polską sekcją Frontu Jedności Ludowej Chile. Przyjechał do naszego kraju z Moskwy.

Przed zamachem mieli szczęśliwe domy, ciekawą pracę w Santiago. Alejandra była reżyserem teatralnym, Mario inżynierem, Carlos prowadził pracownię kserograficzną, a jego żona była dziewiarką. Aż przyszedł 11 września 1973.

Faszyzm

— Nie mieliśmy pojęcia co to jest. Dopiero po tym. Już w Polsce oglądałem wasz program telewizyjny „Świadkowie” — mówi Mario. — Jakaś kobieta pytała czy ktoś nie wie co się stało z jej synem, który zaginął tuż przed wyzwoleniem i do tej pory nie wrócił. 33 lata po wojnie, a ona wciąż czeka. Tak samo w Chile czekają rodziny 2500 zaginionych. Oczekiwanie tych ludzi, ich tragedia — to znaczy faszyzm.

— Ale faszyzm to także ok. 1 mln Chilijczyków, którzy wyjechali z Chile od dnia zamachu do dziś — mówi Carlos Cerda. — Milion to bardzo dużo, bo cały naród chilijski liczy 10 mln. To podwójnie dużo, bo odeszła głównie inteligencja, ludzie kultury i nauki. Wybitni artyści i profesorowie.

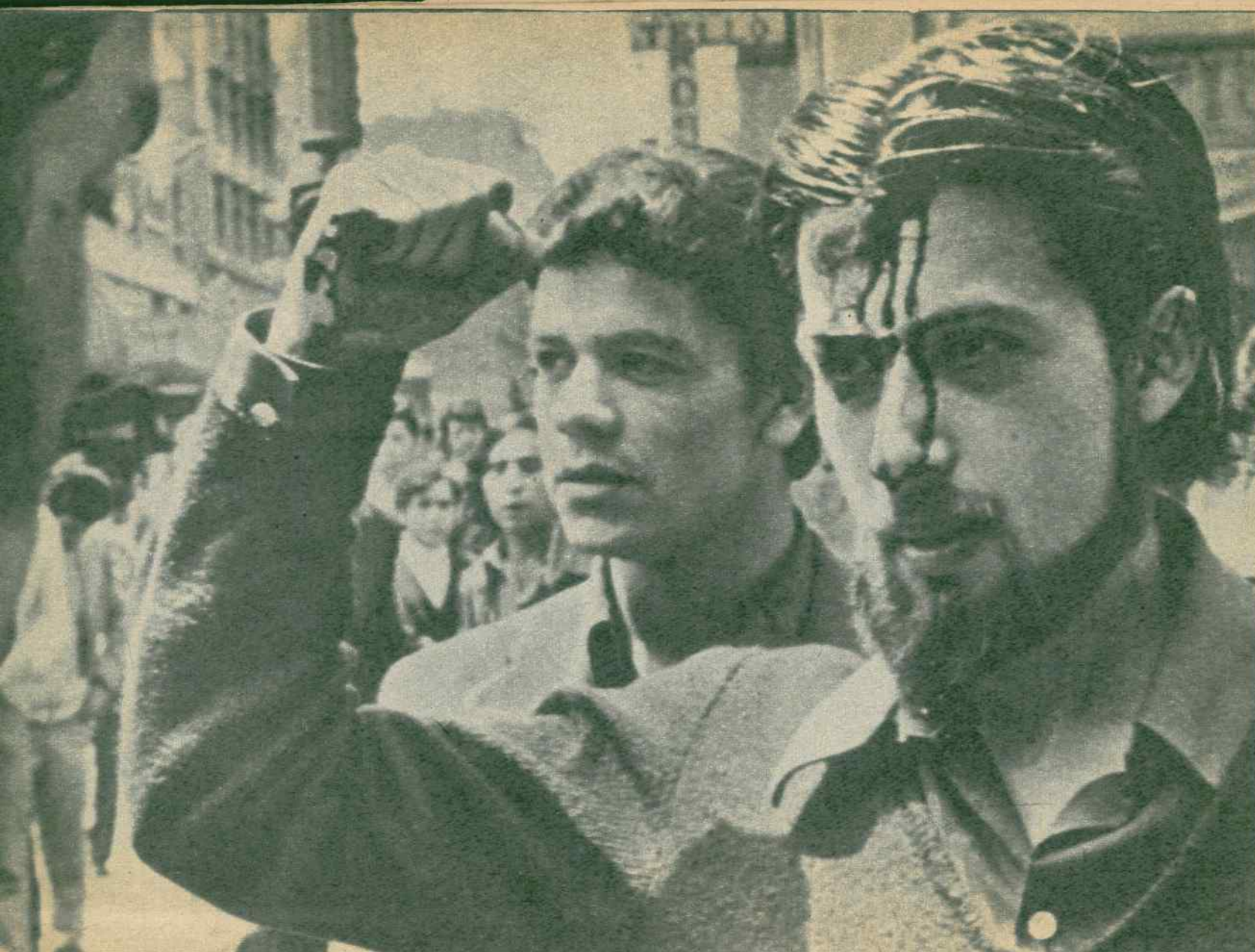
Zabici. Ilu ich jest? 30 tys. — jak mówi Carlos. Czy 80 — jak mówi Mario. Nikt nie prowadził statystyk. Fakty mordów są ukrywane. Ale każdy Chilijczyk otarł się o śmierć. Prawie każda rodzina straciła kogoś bliskiego. Każdy widział śmierć wiele razy. Carlos i jego bliscy pamiętają wszystko.

Zamach stanu

— Byłem wtedy u rodziny w Chillan, na południu Chile. Może tylko dlatego dziś rozmawiamy, że nie było mnie wówczas w Santiago. W pierwszym etapie szukano tam najbardziej zaangażowanych działaczy partyjnych. W drugim — działaczy niższych szczebli: dzielnic, poszczególnych zakładów pracy. Przeszukiwano dom za domem. Represje były wyjątkowo brutalne: śmierć, więzienie, strach...

Kiedy Carlos Cerda dowiedział się o zamachu, natychmiast zdecydował się wrócić do Santiago, do rodziny i pracy partyjnej. Nie było to proste. Były kłopoty z komunikacją, zanim dojechał do stolicy — wielokrotnie zmieniał środki lokomocji. W Santiago trwały zamieszki. Słychać było strzały. Na ulicach wojsko. Jego dzielnica przedstawiała widok wyjątkowo ponury. W żadnym oknie nie było ani jednej szyby. Panowała atmosfera napięcia i strachu.

Jego syn, dziś 16-letni Fidel przeżył ciężkie chwile. To było w dzień zamachu. Radio ogłosiło komunikat,



że cała ich dzielnica zostanie zbombardowana, jeśli robotnicy fabryki tekstyliów nie przerwą oporu i nie poddadzą się. Podano: bomby spadną o godz. 15.00.

W dzielnicy zapanowała panika. Próbowano ją uciszyć. Tłumaczono, że faszyci nie zbombardują dzielnicy, gdzie jest tyle fabryk chemicznych. Wiele osób zostało w mieszkaniach, choć paraliżował ich strach. Większość jednak nie dała się uspokoić. Na ulicach masę ludzi. Uciekali w panice, często na oślep, byle najdalej od miejsca zagrożenia.

Faszyci rzeczywiście nie zburzyli dzielnicy Carlosa. Parę razy zmieniali godzinę mającego nastąpić bombardowania, podsyłali atmosferę paniki. Ale nie zburzyli. Natomiast na sąsiednią dzielnicę — biedniejszą i słabiej uprzemysłowaną — zrzucono parę bomb. Budynek organizacji partyjnej zrównano z ziemią.

Tygodnie i miesiące strachu

...o życie najbliższych, o własne. Trudna świadomość, że laszym zabrał to wszystko, co wywalczono z takim trudem. Działacze partyjni mieli specjalne zadanie: zorganizować się do walki podziemnej i walczyć, nie dopuścić do chaosu.

— Praca przebiegała inaczej, powoli — wspomina Carlos — bo strach paraliżuje. Więzienia są pełne kolegów, wojsko w poszukiwaniu działaczy lewicowych przeszukuje dom po domu. Na oczach wszystkich aresztuje się ludzi: na ulicach, w zakładach pracy, na uniwersytetach, szkołach. W środku nocy podjeżdżają pod domy samochody, wywożą ludzi na przesłuchania, do więzień. Wielu nie wraca. Jaki jest ich los?

Samochody z ciałami poległych jeżdżą pod silną eskortą żołnierzy.

Rzeką Mapocho przez tydzień płyną trupy. Kostnice są przepelnione. Stosy ciał. Mieszkańcy Santiago szukają swych najbliższych.

W kostnicy znaleziono ciało Victora Jary. Miał obie ręce złamane w przegubach. Złamano mu je jeszcze przed śmiercią, by nie mógł śpiewać i grać na gitarze. O śmierci Victora Jary dowiedziało się całe społeczeństwo Chile dopiero z krótkiej notatki w gazetach. Były w niej jak na ironię „słowa współczucia”.

Alejandro ciężko przeżyła tę śmierć. Bardzo dobrze znała Victora — był również reżyserem teatralnym.

O śmierci Pabla Nerudy dowiedziano się natychmiast, z zagranicznych radiostacji.

— Był ciężko chory — wspomina Alejandro — ale mógł żyć jeszcze długo. Jego śmierć przyniosła żalobę narodową. Powtarzano sobie z ust do ust jak zginął, jak splądrowany został jego dom w Santiago, ten sam, w którym złożono jego ciało i skąd ruszył kondukt żałobny. Pogrzeb Nerudy był prawdziwą narodową manifestacją. Zniszczono jego dom, ale na szczęście zachował się bezcenny, o muzealnej wartości zbiór jego książek. Zanim przyszła śmierć, podarował je bibliotece uniwersyteckiej.

— Jak my to mamy opisać? — pytają Silbermanowie i Cerdowie. — To jest nie do opisanania... i nie do zapomnienia. W pierwszych dniach i tygodniach po przewrocie z każdego domu dolatywał charakterystyczny śwąd. Ludzie palili książki, bo za ich posiadanie rozstrzeliwano. Nie tylko za te z napisami Engels, Lenin.

— Raz — wspomina syn Carlosa Cerdę — mamę chcieli zabrać tylko za to, że książka miała czerwone okładki.

— Albo — dodaje jego ojciec — gdy zobaczyli słowo „rewolucja”. Kazali wtedy palić, nie patrząc, że tytuł może brzmieć „Rewolucja seksualna” czy „Rewolucja w architekturze”.

Żołnierze palili książki z bibliotek i uniwersytetów. Na dziedzińcu największego wydawnictwa w Santiago spłonęło 5 milionów książek. Były wśród nich dzieła Marksa i Engelsa, ale były też książki Tołstoja i Dostojewskiego, a także Marka Twaina i Dickensa.

Chaos

Chile rozciąga się na długości 4 tys. km. Penetrowanie takiego obszaru nie było łatwe. Wielu „spalonych” działaczy lewicowych z różnych miast przyjeżdżało do Santiago, by tu prowadzić działalność podziemną czy ukryć się. Junta nie posiadała list lewicowych działaczy. Wystarczyło być podejrzanym, by mieć nieustanne rewizje w domu. Stosowano prowokacje. Na przykład podsuwano ludziom pistolety. Wystarczyło dotknąć — odciski palców były wystarczającym dowodem.

W tym chaosie represje spotykały też ludzi nie mających nic wspólnego z ruchem lewicowym. Pewien nurek odkrył przypadkowo na dnie morza ludzki cmentarz i powiedział o tym paru osobom. Zginął za to, że wiedział za dużo.

Z rodziny Carlosa na szczęście nie zginął nikt, ale jego matka zmarła niedługo po zamachu. Nie mogła znieść myśli, że na wygnaniu znalazło się troje z czworga jej dzieci. Carlos wyjechał w samą parę do Argentyny. Tego samego dnia wszyscy, którzy z nim współpracowali zostali aresztowani.

Tragedią rodziny Silbermana było zaginięcie brata Mario — dyrektora

kopalni miedzi. Został aresztowany po zamachu, więziony, wreszcie skazany wyrokiem na długie lata więzienia. Jeszcze przez rok był torturowany. Potem wszelki ślad o nim zaginął. Jest jednym z tych 2500 zaginionych.

— Czy żyje?

Wdzięczność

— Chcemy podkreślić nie tylko nasze zadowolenie ale naszą wdzięczność dla rządu, partii i społeczeństwa Polski.

Wspominają pierwsze dni w naszym kraju. Samolot z trzydziestoma Chilijczykami wylądował na lotnisku Okęcie w Warszawie. Byli zmęczeni, wycieńczeni, chorzy, prawie dosłownie nadszy i basi. Następne dni i miesiące, gdy w Podkowie Leśnej otoczeni troskliwą opieką przychodzili do siebie, uczyli się polskiego.

Silbermanowie i Cerdowie przyjechali później. Jak i ci pierwsi dostali mieszkania, opiekę, uczą się i pracują.

Alejandro robi doktorat w PAN na temat teatru, pod kierunkiem prof. Stefana Treugutta.

Jej czwórka starszych dzieci chodzi do polskiej szkoły, a mały Pedro do przedszkola.

— Kiedy wrócimy do Chile — mówi Carlos Cerda — my i ten cały milion uchodźców będziemy bogatsi o zdobyte tu w Polsce i w innych krajach doświadczenia. Świadomi, że mamy sojuszników w naszej walce.

BOŻENA SAWA

*) MAPU-oc — (Movimiento de Acción Popular Unificado — Obrero y Campesino), Robotniczo-Chłopski Zjednoczony Ruch Akcji Ludowej. Partia utworzona po rozłamie wewnątrz Chrześcijańskiej Demokracji w roku 1969.



Tekst i zdjęcia: KRZYSZTOF LENGIEWICZ

Gospodarstwo ze „Złotą Wiechą”

Dom stoi tuż przy szosie. Odgałęziająca się od drogi żwirówka skręca w szybką bramę. Z jednej strony chlewnia, z drugiej willa a w środku wybetonowane podwórkó przypominające parking — duży fiat, dwa motory, ciągnik z przyczepami.

Gospodarz wychodzi z werandki na podwórkó. Zaprasza do wnętrza.

— Wchodź pan śmiało — mówi, gdy krępię się wejść w zabłoconych butach. — To jest moje „biuro”.

Na podłodze wzorzysty dywan, palma, barek, fachowa biblioteczka.

— Martel czy Blackberry? — pyta. — No więc jakoś się żyje. To co tu jest, to dorobek ostatnich kilku lat. Właściwie mamy już wszystko. Dom postawiliśmy duży, 10 izb, po dwie dla każdej osoby, choć ta najmłodsza nie ma jeszcze 6 lat. Z łazienką oczywiście, bo teraz innych się nie stawia.

O samochodzie już nie mówię. W takim gospodarstwie to nie przed-

miot zbytku, ale normalne narzędzie pracy. Dzięki niemu oszczędza się czas, który z kolei przeznaczyć można na prace w gospodarstwie. Dla mnie nie jest obojętne, czy idę piechotą do miasta pół godziny, czy jadę samochodem dziesięć minut. Wtedy wszystko można dużo szybciej załatwić i wygodniej. Inna sprawa, że i na wycieczkę z czasem się wyskoczy, zwłaszcza w zimie...

I co z tego, że ja jestem, powiedzmy sobie, świniarz. Takie teraz do nas przenikają wzory z zagranicy, że już żadna praca nie hańbi. Teraz rolnik to do godności wyniesiony. Wszyscy patrzają mu na ręce co też dla miasta odda...

Gospodarz siedzi na wprost olbrzymiego telewizora, częstuje koniakiem i pokazuje trofea: dwa dyplomy za pierwsze miejsce w wojewódzkich konkursach o mistrza produkcji zwierzęcej, Srebrny Krzyż Zastugi, dyplom za uzyskanie pierwszego miejsca w województwie w konkursie „Złota Wiecha”, wycinki z gazet. Ostatni z „Gazety Olsztyńskiej”. „W dorodnym rzepaku Romana Czacharowskiego z Tuszewa sprawnie uwija się kombajn z miejscowego SKRu”... itd. Obok zdjęcie.



Na zdjęciu: Czacharowski stoi na bizonie w slipekach.

— Jak to zobaczyłem, to aż mnie zatrzęśło — powiada. — Chciałem zadzwonić do tego dziennikarza, bo on mnie zaskoczył na polu i zrobił to zdjęcie bez uprzedzenia. Ja go prosiłem, żeby tego zdjęcia nie zamieszczać. Teraz ludzie pomyślą jeszcze, że chłop bez portek został — jak mi to nieraz przepowiadano.

To było wtedy, jak wzięliśmy pożyczkę na budowę chlewni. Koledzy, znajomi mówili: „Roman, co ty robisz?”

Pilnuj lepiej swego,

biedy przecież nie masz”. Wróżono mi, że za rok pójde w koszu, że dzieci komornik weźmie...

Rodzice jego, gdy żyli jeszcze, też byli przeciwni. Hodowali kilka krów, kilkanaście świń i dziesięć kur i to im wystarczało. To był dla nich i tak wielki skok, że zaspokajali wszystkie swoje potrzeby i marzenia. Nie musieli śledzić cen żywności i cen paszy. Nie drżeli, że nie spłacą kredytu, bo kredytu nie brali. Ten spokój im odpowiadał. Nie odpowiadał natomiast synowi. Roman chciał unowocześnić gospodarstwo i powiększyć produkcję. Wtedy był to pomysł hazardzisty. Można było wiele zyskać albo wpędzić całą rodzinę w biedę.

— Wie pan, przez życie można łatwo przejść i nie być zauważonym. Można jakoś przeżyć tym co rodzice zrobili, ale nie o to przecież chodzi. W życiu trzeba być kimś, mieć dużo, albo nic.

Gdy rodzice zmarli i zostawili mu 13 hektarów, zaczął myśleć, jak na tym gospodarować. Najpierw pomyślał o żonie. W rolnictwie, o czym nie wiedzą mieszczychy, żona najważniejsza. Od jej wieku, pracowitości i zdrowia za-

leży dobrobyt w gospodarce. Żonę wziął sobie z Tuszyna. Niektórzy kręcili nosem, że to nie gospodarska córka (pracowała w sklepie), lecz on się uparł i dobrze na tym wyszedł.

Wesele było huczne, lecz nie za wielkie. Wielkość wesela określa się na wsi nie liczbą zaproszonych gości, lecz zjeżdżających samochodów. Na duże wesele zjeżdża trzydzieści! U nich było siedemnaście. Zaoszczędzili trochę grosza i mogli od razu zainwestować w gospodarstwo.

Zaczął od przygotowania gospodarstwa do nowoczesnej produkcji. Od początku każde jego posunięcie poprzedzone było kalkulacją strat i zysków. Sprzedał konie, kupił traktor, bo koń się dzisiaj nie kalkuluje. Koń zeżre trzy czwarte tego, co wypracuje. Ciągnik spala dużo, ale robi dziesięć razy tyle, co spala. Z krów pozostała tylko jedna, żeby było mleko w domu.

— Do dziś wielu rolników zarzuca mi, że nie jestem prawdziwym rolnikiem. No, bo jak ty nie masz konia, krów — to ty nie rolnik. Rolnik musi mieć cały ogród zoologiczny: krowy, kury, konie, cielaki — to wtedy będzie takim rolnikiem, że się dusza będzie śmiała. To jest może i słuszne, bo wtedy oni mówią, nie ma ryzyka. Jak zdechnie świnia, to on ma jeszcze tego cielaka. Ja nie bałem się tego ryzyka. Przy każdej hodowli jest ryzyko — a kto ryzykuje, ten ma.

Od początku podjęli

ryzyko specjalizacji

— świnie i kaczki. Żona poszła na kurs w gminie i uzyskała tytuł mistrza hodowli drobiu. Ważny był nie tylko tytuł, lecz i związane z tym wyższe ceny skupu jajek. Po dwadzieścia groszy więcej.

Niby nic, lecz przy 500 kaczkach dawało to miesięcznie 2,5 tysiąca dodatkowego dochodu.

On co roku powiększał hodowlę świń. Zmodernizował chlewnię. Studiując literaturę fachową nieustannie pracował nad doborem najracjonalniejszych mieszanek paszowych. Liczył, eksperymentował. Obiad jadał późnym wieczorem, wychudł, ale zrobił co zamierzał. Gospodarstwo zapelniało się. Nie była to może jeszcze wielka fabryka mięsa i jajek, ale nie był to już warsztat chatupniczy. W chlewniku i stadole stało blisko 200 świń, w kurniku — 600 kaczek. W ciągu kilku lat zdolał także zgromadzić środki na inwestycje.

— Zacząłem myśleć, co dalej, bo to co było, już mi przestało wystarczać. Trzeba się było na czymś skoncentrować. Pomyślałem o świninach, żeby powiększyć hodowlę. Były warunki, nowe decyzje partii i rządu. Poczulem szansę. Bank rolny po pierwszych sukcesach udzielił mi kredytu. Zacząłem budowę chlewni.

Myślałem, że wezmę typowy projekt, ale gdy go obejrzałem okazało się, że jest za ciasny dla moich zamierzeń. Powiększyłem wymiary, żeby zmieścić jeden rząd kojców więcej. Podwyższyłem stropy. Dzięki temu wygospodarowałem obszerne pomieszczenie na poddaszu mogące służyć za magazyn pasz — a w razie potrzeby do ustawiania dalszych kojców. Zacząłem budowę wiosną 1975 roku, a już po kilku miesiącach w lipcu, świnie miałem pod dachem. Trafiliem na dobry czas. Większość materiałów udało mi się dostać z gminy. Po resztę jeździłem po geesach. Nie było, jechałem dalej. Musiałem dostać, bo maciory już wysokoprośne, trzymałem jeszcze w stadole, w prowizor-

Jak chlewnia była skończona, to zaraz się wypełniło. Tak, że z pierwszego rzutu sprzedałem jeszcze pod koniec roku łącznie 180 loszek, knurków i tuczników. W ten sposób do nagrody „Złotej Wiechy” doszedł jeszcze dyplom dający tytuł drugiego hodowcy trzody chlewnej w województwie.

W następnym roku byłem już pierwszy. W ubiegłym roku powtórzył sukces.

Na uroczystości wręczenia dyplomu zjechali do Tuszewa dyrektorzy z ministerstwa i urzędów, towarzysze z komitetów, naukowcy i rolnicy. Wielu z nich pytało Czacharowskiego

o tajemnice sukcesów.

Jedna pani doktor z Poznania zawiesiła nawet jakieś dziwne skrzynki w jego chlewni, żeby zbadać wilgotność, temperaturę i stężenie amoniaku w atmosferze świnia.

Śmiał się.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Trzeba świniom dać, żeby one dały. Po prostu trzeba o nie dbać. To wszystko.

Idziemy do chlewni. W świnia nie śmierdzi. Uderza mnie to, ponieważ przywykłem, że w większych chlewniach zwała z nóg ciężki fetor. Nie śmierdzi — 400 świń. Czacharowski ma ich w sumie blisko 600, lecz resztę trzyma w okolicach, bo chlewnia okazała się już za mała. Świnie Czacharowskiego są doskonale czyste, jasnoróżowe.

— Świnia jest czystym zwierzęciem — wyjaśnia Czacharowski. — To ludzie tak świnie ześwinili.

Obornik usuwany jest z chlewni mechanicznie. Czacharowski wciska guzik, szumi głucho silnik, taśma rusza. Wyrzuca wszystko na zewnątrz

CIĄG DALSZY NA STR. 12



Ale właśnie pojawiły się pierwsze rozdziały „Anny Kareniny”. Później, gdy powstanie ostatnie wielkie dzieło Tolstoj — powieść „Zmarłych-wstanie”, równoległe z publikacją kolejnych odcinków w Rosji, będzie się ukazywać w czasopiśmie wielu krajów świata. A to już dzięki dobrodziejstwu telegrafu...

Pojawienie się „Anny Kareniny” wywołało szok. Oto po epopei z lat minionych prezentuje Tolstoj utwór, którego treść robiła wrażenie wziętej z potocznego życia. A więc temat powszedni, by nie rzec — pospolity. Co do tego zdania będą jednak podzielone. Powieść jeszcze się drukuje, a już zaczynają się spory. Historycy literatury rosyjskiej utrzymują, że nie sposób wyobrazić sobie żurnalistyki rosyjskiej lat siedemdziesiątych XIX wieku bez sporu o „Annę Kareninę”.

Autor twierdzi, że napisał powieść z życia, powieść współczesną, której centralnym problemem jest myśl rodzinna. Tę ideę bardzo sobie cenil, podobnie jak w „Wojnie i pokoju” — myśl ludową. Oczywiście, w „Wojnie i pokoju” także jest kronika rodzinna, jak znowu w „Annie Kareninie” nie brak obrazów z życia ludu.

Któż by tam jednak liczył się ze zdaniem autora! Krytycy wiedzieli lepiej: „Wojna i pokój” to przecież żadna powieść historyczna, lecz owszem — utwór na wskroś współczesny! „Anna Karenina” natomiast — to dzieło archaiczne, historyczne, jak kto zresztą woli, w każdym razie: żadna tam powieść współczesna!

FIODOR DOSTOJEWSKI napisze w dwa lata później w „Pamiętniku

plastyki i prawdziwości życiowej swych bohaterów, „Anna Karenina” nie ma sobie równych.

Jest to, rzeczywiście, powieść do czytania i jednocześnie wielki utwór literatury pięknej, dzieło sztuki, w którym idee zostały bezbłędnie przełożone na zdarzenia i obrazy. Fiodor Dostojewski wyznał, że w tej powieści usłyszał „nowe słowo”. A przecież zdawało się, że „Wojna i pokój” wyczerpała wszelkie możliwe warianty spłotów międzyludzkich, odstawiając bogactwo psychiki, dając bez mała pełny katalog charakterów, słowem, to wszystko, co tylko mogło być dostępne do świadczonemu jednemu artyście.

Oczywiście, taki punkt widzenia jest zawsze mylny. Nowa sprawa rodzi nowe konfiguracje, odstawia tajemnicę ludzkiego losu w innym, nierozpoznanym miejscu. „Wojna i pokój” była dziełem wielkiej jasności wewnętrznej, rozświetlał ją żar wiary i optymizmu. Osobiste losy bohaterów spletały się pomyślnie z życiem społecznym i politycznym kraju. Zwycięska Wojna Narodowa jednoczy wszystkie siły w kraju. Rodzą się trwałe więzy rodzinne na gruncie szczęśliwie dobranych par małżeńskich.

Klimat „Anny Kareniny” jest mroczny. Powieść zaczynała się zdaniem: „W domu Obtońskich zapanała wielki zamęt”. To zdanie wprowadza nas w świat w momencie rozpadu (krytycy powiedzą, że autor dał obraz „współczesnego Rzymu” w stadium upadku). Zalał się porządek rzeczy, zachwiał ład moralny, społeczny i obyczajowy. Tolstoj widzi przed sobą świat pokawałkowany, pozbawiony spoiwa etycznego.



Orest Wierejski — „Na wyścigach”. Ilustracja do „Anny Kareniny”

Zdjęcia: ARC

w „Annie Kareninie” ówczesne problemy naukowe i filozoficzne, zagadnienia sztuki, wydarzenia historyczne i polityczne, poszczególne posunięcia rządu, zjawiska społeczne”.

LENIN w rozprawie „O literaturze” podejmuje bezpośrednio cytowane już słowa Lewina.

Pisze: „Co się wywróciło jest doskonale wiadome, lub co najmniej dobrze znane każdemu Rosjaninowi. Chodzi o pańszczyznę i cały odpowiadający jej »stary ład«. To zaś, »co się dopiero kształtuje, jest absolutnie nieznane, obce i niezrozumiałe dla najszerzszych mas ludności. Podobnie jak narodnicy, nie chce Tolstoj widzieć, zamyka oczy, odwraca się od myśli o tym, że w Rosji »kształtuje się« nie żaden inny ustrój, lecz właśnie burżuazyjny”.

Wtle „Anny Kareniny” łączy się zatem rozmowa o współczesności. Jest rzeczą geniuszu Tolstoj, że nie odstawia od wątku pierwszoplanowego, jakim jest dramat Anny Kareniny, kobiety nieprzeciętnej, która burzy małżeństwo, rodzinę, by pójść za głosem namiętności. Tolstoj jest po stronie rodziny, owego podświadomego organizmu społecznego, ale zarazem nie polepsza swej bohaterki; stara się ją tylko zrozumieć. Każdą postać prezentuje w pełnym bogactwie jej psychiki, odkrywając nowe złoża ludzkich doświadczeń.

Wszystko to było na tyle ostre i prowokujące, że gazety ruszyły do ataku. Do polemiki zgłosiły się najpoważniejsze wówczas czasopisma rosyjskie: „Russkij wiestnik”, „Dielo”, „Otieczestwiennyje zapiski”, „Wiestnik Ewropy” i inne. Manipulowano problematyką „Anny Kareniny” w sposób odpowiadający polityce tej czy innej redakcji. Oczywiście, najłatwiej było dyskutować o estetycznych walorach powieści, jak próbował to zrobić „Russkij wiestnik” piórami najlepszych swych krytyków. Nie mogło to zadławić Lwa Tolstoj, który doskonale zdawał sobie sprawę, że w ten sposób pomniejsza się skalę jego społecznej interwencji. Zerwał z czasopiśmem. „Dielo” także było przeciwko Tolstojowi. Milczał Mikołaj Niekrasow. Zdawało się, że cze-

ko na zakończeniu druku powieści, a gdy ten moment nastąpił, wykreślił się jedynie zrezygnowanym epigramatem.

Jedna natomiast recenzja poruszyła pisarza. Jej autorem był poeta-symbolista Afanasij Fet, który nazwał „Annę Kareninę” powieścią kryształową i przyrównał ją, jakże celnie, do „Eugeniusza Oniegina”.

Tolstoj wyznał, że z przyjemnością czytał analizę własnych myśli, rzetelny ich rozbiór, tak przenikliwy, że odkrywał przed nim nawet utajone w powieści akcenty. A Fet mówił wprost, że „Anna Karenina” jest powieścią „surową i nieprzekupną”. W powadzi bełkotliwych polemik zabrzmiała to czysto i krzepiąco.

Pisarzowi potrzebny był mądry sojusznik, bo sam przechodził poleźne „trzęsienia ziemi”. Zachwiał się w nim dotychczasowe wartości, kipiały kwestie społeczne, przeżywał kryzys religijny, zaś wszelkie systemy filozoficzne dusiły go jak za ciasny gorset. „Annę Kareninę” pisał na wielkiej, ale niewątpliwie rozchwieranej strunie. Stąd ów klimat wewnętrznej napięcia, dokuczliwej rozterki, pasji i zwątpienia.

Ma lat czterdzieści siedem, gdy ukazują się pierwsze rozdziały „Anny Kareniny”, pięćdziesiąt, gdy utwór wychodzi w postaci książkowej. Ma przed sobą jeszcze trzydzieści dwa lata życia. Jeszcze odległy jest dzień, gdy ucieknie z Jasnej Polany — a więc — od świata, od siebie, aby w zapadłej wsi, w jakimś Astapowie wypowiedzieć osłabnie słowa: „Nie, chłopcy tak nie umierają”, tak — czyli w takiej niezgodzie ze światem, z burzliwą epoką, z własnym losem, który chciał rzeźbić, lecz materiał był zbyt płynny, umykał mu z rąk.

Sam pełen sprzeczności, potrafił przeobrazić ludzi.

Pisze LEONID LEONOW: „Jakkolwiek bogaci byłiby nasi dziadkowie, którzy stworzyli naszą historię i język i założyli podwaliny naszego bytu materialnego, my jesteśmy od nich bogatsi: w każdym z nas jest badaj drobinka Tolstoj”.



Lew Tolstoj i jego córka Aleksandra. Ona to spisała wspomnienia swojego ojca, które w roku 1953 ukazały się w Nowym Jorku

pisarza: „„Anna Karenina” jest szczytem doskonałości jako utwór literatury pięknej... i to takim szczytem, z którym nie może się równać żadne inne dzieło w literaturze europejskiej doby współczesnej”.

dzisiaj można się spotkać z opinią, że „Anna Karenina” jest być może w ogóle najlepszą powieścią świata.

Stanisław Cat MACKIEWICZ, doskonały znawca literatury rosyjskiej XIX wieku, pisze, że pod względem komunikatywności, pod względem

Jeden z pierwszoplanowych bohaterów powieści — Lewin, powie: „U nas obecnie wszystko wywróciło się i dopiero się kształtuje”.

MIKOŁAJ GUDZIJA w monografii poświęconej Tolstojowi pisze: „Tolstoj pisał »Annę Kareninę« w latach 1874—1877. W toku pracy wypowiadał się na kartach powieści na temat wielu zagadnień, które nurtowały społeczeństwo rosyjskie i były dyskutowane na łamach ówczesnych czasopiśm. W takiej czy innej postaci znalazły swe odbicie

Gospodarstwo

ze

„Złotą Wiechą”

CIĄG DALSZY ZE STR. 11

budynku do gnojownika. Startąd ładowaczem na przyczepę — i na pola. Pasza jest na piętrze. Przez otwór w suficie zsypuje się ją na dół do specjalnego wózka i rozwodzi do stanowisk.

W chlewni przy robocie pomaga ojcu jego najstarszy syn, Kazik. Odbywa tu praktykę wakacyjną — jest uczniem trzeciego roku technikum rolniczego. Dowiaduję się, że jak skończy technikum, to pójdzie na wyższe studia rolnicze. Z dyplomem magistra wróci na gospodarstwo, bo jest już pasowany na następcę.

— Taka gospodarka — mówi — to mi się podoba, bo jest nowoczesna.

W urzędzie gminnym dowiem się później, że jest to chyba najbardziej nowoczesne gospodarstwo hodowlane w gminie. Ba, w całym województwie. Tak nasycione sprzętem, tak doinwestowane, tak prowadzone konsekwentnie.

— I to jest kapitalna rzecz w naszej robocie — mówi Czesław Kukuła, kierownik służby rolnej. — Możemy tu wycieczki z całego województwa zwozić i pokazywać nowoczesność. To jest taka pomoc naukowa w skali 1:1, którą my, a także służba rolna w województwie, staramy się wykorzystywać przy każdej okazji.

☆☆☆

Wracamy do jego „biura”. Siedzę przy stole z całą rodziną, rozmawiamy.

— Wie pan, był taki moment, jak stawialiśmy tę świnia, że mąż zachorował. Nie chciał leżeć. Kładź się — powiadam, leż, do diabła ciężkiego, bo mi umrzesz, a chlewnia nie spłaca i co zrobisz — mówi dziś pani Aurelia.

Są dziś odprężeni. W pokoju gra telewizor, na stole różne gatunki kielbas, szynka. Za oknem widać chlewnię i samochód. Czego jeszcze potrzeba do szczęścia, do stu-procentowego? Próbuję pytać mego gospodarza — co dalej?

— Wybuduję drugą chlewnię — powiada.

— A jeszcze potem?

Gospodarz zastanawia się:

— Potem jeszcze trzecia. Dla syna.

— A później?

— Wiem, o co panu chodzi. Chce pan wiedzieć, czy coś czytam, czy interesuję się czymś — tak? Nie mam czasu. Ja rozumiem, że człowiek powinien być o coś tam jeszcze w życiu bogatszy. Ale tak właśnie jest. Może dzieci... Ja bym chciał, żeby dzieciom było dobrze. Wróżono mi, że za rok z portkami pójdę, że dzieci komornik weźmie. A dzisiaj mi się zazdrości trochę. Ale czego? Ze ja ciężko pracuję?

Wstaje przed piłą, kładzie się spać o jedenastej. Ma telewizor, ale go od miesiąca nie otwierał.

— Może kupić drugi i postawić go w świnia — zastanawia się. — To bym wtedy chociaż sport oglądał.

KRZYSZTOF LENGIEWICZ

9 września minęła 150 rocznica urodzin Lwa Tolstoja, jednego z największych pisarzy czasów nowożytnych. Autor trylogii „Dzieciństwo”, „Lata chłopięce” i „Młodość”, „Opowiadań sewastopolskich”, „Wojny i pokoju”, „Anny Kareniny”, „Zmartwychwstania”, utworów dramatycznych, artykułów publicystycznych i rozpraw filozoficznych — był dla współczesnych postacią wyjątkową, myślicielem, wysokim autorytetem moralnym. Dzieło Lwa Tolstoja jest trwałym ogniwem w dorobku ludzkości.



Maksym Gorki o Tolstoj: „Przypominam sobie jego przenikliwe oczy — widziały wszystko, na wskroś — i ruchy palców, zawsze jak gdyby rzeźbiących coś z powietrza, jego rozmowy, żarty, ulubione gwarowe słowa i ten jakiś nieokreślony głos...”

FELIKS
NETZ

Powieść z życia

W styczniowym numerze czasopisma „Russkij wiestnik”, w roku 1875, Lew Tolstoj opublikował pierwsze rozdziały nowej powieści pt. „Anna Karenina”. Ma w tym momencie lat 47. Przed czterema laty skończył pisać „Wojnę i pokój”. Jest wielkim pisarzem, postacią publiczną.

Europa łapczywie wychwytuje każdą myśl mędrca z Jasnej Polany. Jego słowa mają moc magicznego zaklęcia. Tolstoj nawołuje młodzież, by odmawiała służby w armii. Młodzi ludzie, idąc za wskazaniem Mistrza, godzą się na długoletnie więzienia. Przed dwudziestu laty pierwszy krytyk Rosji i najwyższy autorytet w sprawach literackich —

Mikołaj Czernyszewski orzekł, że Lew Tolstoj jest najpiękniejszą nadzieją literatury rosyjskiej. Kiedy padły te słowa, hrabia i, oczywiście, oficer nie był jeszcze autorem ani jednej książki. Zdążył jedynie wysłać z Kaukazu i Sewastopola do redakcji „Sowriemiennika” kilka opowiadań.

To jednak wystarczyło. Niebawem znalazł się w centrum życia literackiego Petersburga i Moskwy. Po „Wojnie i pokoju” będzie już pisarzem europejskim. Będzie fascynował świat.

Kawatek Śląska w Biharze

KORESPONDENCJA
WŁASNA
„PANORAMY”



Bihar. Sześćdziesiąt milionów ludzi na obszarze nieco większym niż połowa Polski. Największy w Indiach rezerwar węgla koksującego. Od lat między Biharem a Śląskiem istnieje pomost górniczego partnerstwa. Dla realizacji zawieranych przez KOPEX kontraktów wyjeżdżają do Indii inżynierowie, sztygarzy, projektanci. Pisze się o nich mniej niż o naszych specjalistach w innych krajach. Ta relacja — przywieziona z okręgu węglowego Jharia, z miasta Dhanbad, z dwu sąsiednich kopalni Sudamdih i Munidih — to tylko muśnięcie tematu...

Dobry przypadek sprawił, że inżyniera Ryszarda Bieska spotkałem od razu w Kalkucie, dokąd przyjeżdża czasem ze swej kwatery głównej w Dhanbadzie. Byliśmy lokatorami tego samego pensjonatu — „Bengal Chambers” przy Russel Street — przystani Polaków przybywających do największego miasta Indii. Jest to wygodny adres, o półtora rzutu kamieniem od pryncypalnej Chowringhi, w spacerowej odległości od konsulatu, gdzie urzędują także przedstawiciele central handlu zagranicznego, a wśród nich delegat KOPEXu.

Pensjonat zajmuje dwa piętra w ogromnym, otynkowanym na żółto, pudle gmaszyska, pamiętającego królową Wiktorię, oplecionym od podwórza spiralami żelaznych schodków dla służby, której w tamtych czasach nie wolno było używać windy. Pokoje w „Bengal Chambers” są niebotyczne, stoją w nich ciężkie jak kredensy fotele, przepastne szafy, sekretarzyki z lustrami zamglonymi starością, archaiczne maszyny do chłodzenia powietrza, a miedziano-cynową armaturę łazienek przyjąłoby z zachwytem każde muzeum techniki.

W takim właśnie pokoju — przy popołudniowej herbacie, która jest w „Bengal Chambers” tradycją równie

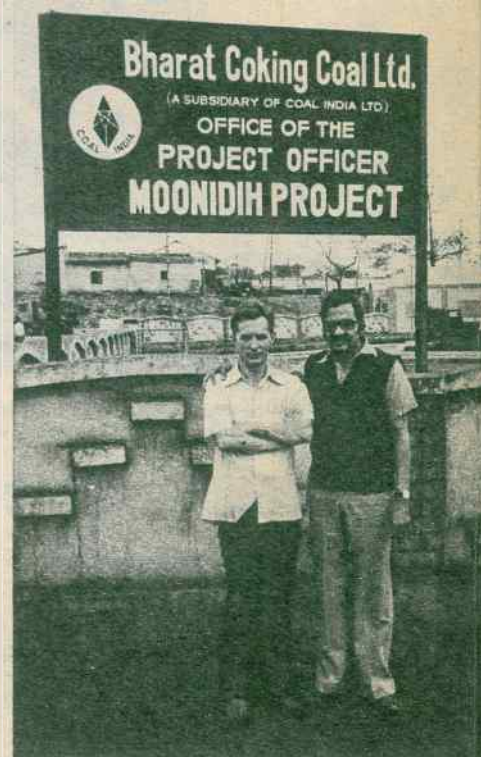
regularną, jak hejnał z Wieży Mariackiej — inżynier Biesek opowiadał mi jak skrzyżowały się jego drogi z Indiami, o Biharze i jego węglu, a zwłaszcza o kopalniach Sudamdih i Munidih, dokąd miałem wkrótce pojechać.

Sekwencja pierwsza — historyczna

Sudamdih narodziła się w roku 1964 na rajzbretach Biura Projektów Górniczych w Gliwicach. To właśnie inż. Biesek przygotował część górniczą projektu. On też w cztery lata później wyjechał do Indii na zastrzeżony w kontrakcie nadzór autorski, zmieniając inż. Ciszka. Był — jak powiada — „wewnętrznie przygotowany” do tego wyjazdu. Nic dziwnego — tymczasem zaprojektował także Munidih i opracował dokumentację techniczną dla „swego” Sudamdihu.

W roku 1976 — mimo nie najlepszego stanu zdrowia — zdecydował się na powtórny wyjazd. Jest teraz szefem Biura Projektów w Dhanbadzie, które przygotowuje wizję wielkiego zagłębia Jharia aż po rok dwutysięczny.

Jharia ma 240 kilometrów kwadratowych. Z tego 217 należy do przedsiębiorstwa państwowego



Inż. Jerzy Majnka z Katowic i dyrektor z kop. Munidih A. T. Gulati

Kawałek Śląska w Biharze

DOKONCZENIE ZE STR. 15

raz był tu w latach 1970—1972). Nie dziwię się więc zbytnio, słysząc jak swobodnie dogaduje się ze swymi indyjskimi kolegami mieszkanką trzech języków.

Obwał wygląda paskudnie i będzie wymagał wielu ostrożnych i czasochłonnych wysiłków, zanim będzie można podjąć normalną pracę.

— Eksploatacja tych grubych (20—24 m) i stromych pokładów, to nasz główny problem — powiada inż. Majnka.

Munidił jest dużo łatwiejsza. Ale mimo to Munidił także nie wykorzystuje swej mocy produkcyjnej. Przyczyna? Przede wszystkim tzw. czynnik ludzki — mówi menadżer A. T. Gulati.

Połowa z ponad dwu tysięcy pracowników to właściwie okoliczni wieśniacy. Nie stosuje się akordu, wynagrodzenie jest dniówkowe. Na pierwszej szycie frekwencja wynosi zwykle 650—700 ludzi, na drugiej i trzeciej — już tylko 350.

Dyrektor A. T. Gulati dwa lata temu spędził na Śląsku trzy miesiące i przyznaje, że wyjeżdżał z żalem, bo polubił Polaków, ceni ich za gościnność i serdeczność. Był także we Francji i porównanie tego pobytu wypadło w jego oczach wyraźnie na korzyść Polski. W Indiach o Polsce krążą różne opinie, często całkiem mylne, bo informacji jest za mało, wymiana kulturalna stanowiła za uboga.

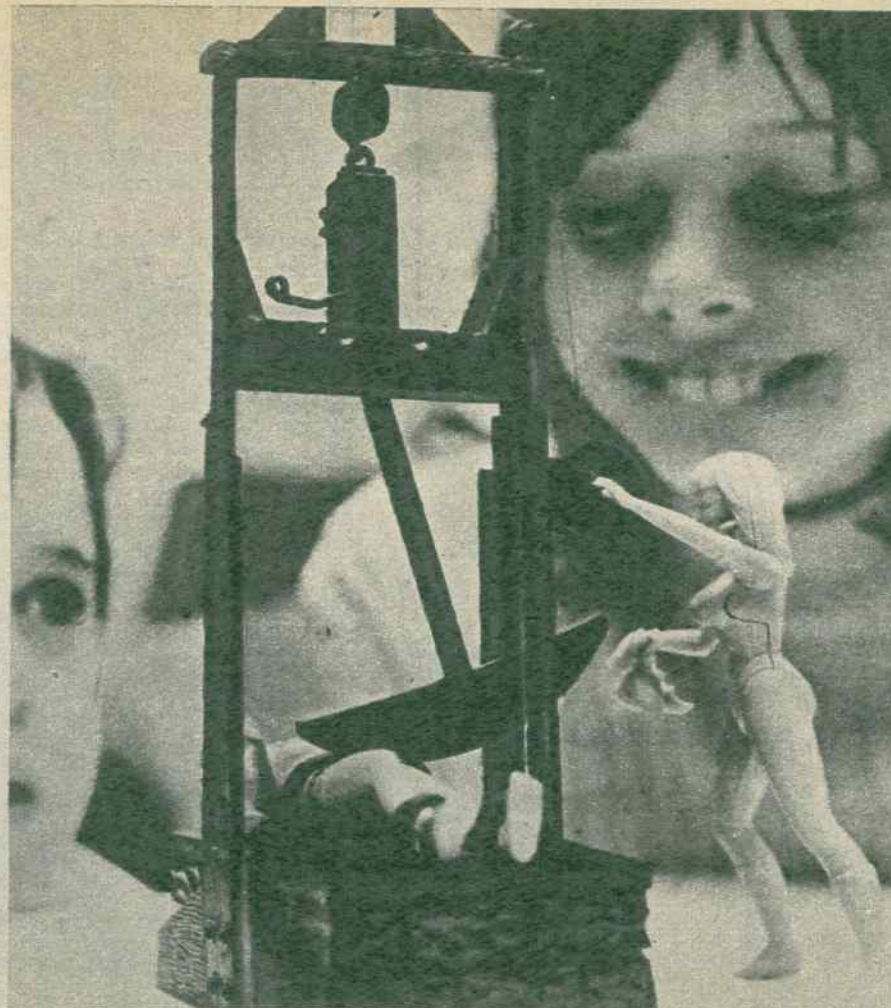
Nie odniosłem wrażenia, by te pochwały, które tu raz po raz wernie odnotowują, wynikały z kurtuazji gospodarzy. Po prostu nasi górnicy to solidni fachowcy.

JERZY CHOCIŁOWSKI

Zdjęcie autora



Typowa dla zagłębia Jharia mała kopalnia upadła



Zdjęcia tu reprodukowane pochodzą ze znanego zachodniemieckiego tygodnika STERN.

Opublikowano je 17 sierpnia br. wraz z redakcyjnym tekstem wyrażającym niepokój z powodu rosnącej brutalności i okrucieństwa dzieci w RFN. Autor, Hermann Suelberg podaje fakty przerażające...



BCCL (Bharat Coking Company Ltd). Reszta to własność spółki IISC (India Iron Steel Company), fragment połączony domu przemysłowego Tata.

Złoża są przebogate, ocenia się je na pół miliarda ton. Pierwsze mapy geologiczne i stratygraficzne zagłębia sporządzili w latach 1912—1917 Anglicy. Budowano wówczas drogę żelazną i pierwsze kopalnie powstawały właśnie na potrzeby kolei. Ale były to z reguły rabunkowe bieda-szyby.

Dopiero Tata unowocześnił trochę wydobycie, ale i on nie oszczędzał szczególnie złóż. Ciężko je w szachownicę, w regularny „ser szwajcarski”, wybierając sześć metrów, a pozostawiając dwanaście. Wskutek tego prawie 70 proc. złoża pozostawało na dole. Jest to stary angielski system, stosowany również na Śląsku, ale sto lat temu.

Kopalnie — z całym swym prymitywizmem — przetrwały długo: przeszło pół wieku. Nie miały one nawet pomp. W czasie monsunów wodę wynoszono po prostu wiadrami. Wydajność była niewielka, 60—100 ton dziennie, a więc zmieściłaby się w dużym wagonie. Jedną wiertarką, 40 małych wózków, głębokość 100—200 metrów, brak szybów — oto typowy schemat indyjskiej kopalni upadkowej.

Racjonalna eksploatacja zaczęła się właściwie w latach 1964—66. Wtedy też potworzyły się pierwsze grupy górników związanych trwale z kopalniami. Ich zarobki były już lepsze niż przedtem, pojawiły się również po raz pierwszy świadczenia socjalne. Z czasem górnicy dostali gumowe, wysokie buty oraz kaski i lampy z paskiem. W Sudamdih dopiero niedawno, bo przed rokiem, wyposażono ich w POGi — aparaty ucieczkowe, czyli pochłaniacze dwutlenku węgla. Teraz, w razie pożaru, gdy pójdą dymy, górnik zakłada maskę i ma 30 minut na wyciągnięcie się ze śmiertelnej strefy.

Sekwencja druga — kolejowa

Przenieśmy dalszy ciąg tej rozmowy z hotelu do pociągu Coal Field Express, który 260 kilometrów z Kalkuty do Dhanbadu pokonuje w przyzwoitym czasie czterech i pół godziny.

Odjeżdżaliśmy z kalkuckiego dworca Howrah, który wydaje się miniaturką owej „funkcjonującej anarchii”, jak ktoś nazwał całe Indie. Podjeżdża się tam samochodem prawie przed sam pociąg, pomiędzy zatłoczone, zgietkliwe perony, w ciżbę ludzką, wśród której jak opętani biegają bosi tragarze w czerwonych kubrakach, walczący z determinacją o bagaże pasażerów.

Mieliśmy zarezerwowane miejsca, co potwierdziła umieszczona na jednym z wagonów kartka z naszymi nazwiskami: inż. Bieska, moim oraz inż. Henryka Karmańskiego.

Ten ostatni, siemianowiczanie, z Katowickiego Zakładu Psychologii i Fizjologii Pracy przy Głównym Instytucie Górniczym, zwany żartobliwie dla swej pickwickowskiej sylwetki — mota babu — jest delegatem KOPEX-u, najsilniejszej grupy w kalkuckim konsulacie. Należy do niej — prócz dziewięciu projektantów w Dhanbadzie i ośmioosobowej ekipy nadzoru w Sudamdih i Munidih — także czteroosobowy zespół w Durgapur (projektujący zakłady przerobcze węgla) oraz dwójka projektantów w Ranchi. Razem — 23 ludzi, a łącznie z rodzinami kilkadziesiąt osób, rzuconych daleko od chłodnego nieba Śląska na ziemię biharską, o której jeden z dziennikarzy francuskich napisał, że mogłaby

postużyć jakiemś współczesnemu Zali za model azjatyckiej wersji „Germinalu”.

Teraz jest jeszcze względnie chłodno, ale w wagonie — mimo włączonej klimatyzacji — daje już o sobie znać lepki oddech nadchodzącej z opóźnieniem wiosny. Za oknami, w świetle odchodzącego dnia przelatuje płaski, zakurzony krajobraz. Od czasu do czasu na ścianach glinianych domków zjawia się, jak graficzny przerywnik, rysunek gwiazdy z sierpem i młotem: znak, że przejeżdżamy przez „Czerwony Bengal”.

Coraz bliżej Dhanbad, coraz bliżej Sudamdih — miejsca o reputacji, trzeba to wreszcie powiedzieć, nieco kontrowersyjnej. Nie ukrywam przed inż. Bieskiem, że słyszałem o Sudamdihu opinie sprzeczne. Zamiast planowanych sześciu tysięcy ton kopalnia daje dziennie trochę ponad tysiąc. Dlaczego? Są tacy, którzy powiadają, że zawiodła nasza tech-

nie tylko to sprawia, że Sudamdih nie funkcjonuje na pełnych obrotach. To samo dotyczy przecież także Munidihu, gdzie warunki geologiczne są znacznie łatwiejsze.

Sekwencja trzecia — autopsyjna

Dworzec dhanbadzki mimo późnej godziny kłębi się jak wyrojona pasieka. Przepychamy się ku wyjściu, gdzie na inż. Bieska czeka samochód, a także żona z córką. Teraz trzeba jeszcze jechać 27 kilometrów do Sudamdihu, gdzie czeka nocleg. Reflektory wydobywają z mroku zapyloną drogę, która jest właściwie jedną tasiemcową ulicą, oklejoną z obu stron bezładną parterową zabudową, szopami, garażami, sklepikami sprzedającymi na sztuki herbatniki i papierosy.

W pewnej chwili natykamy się na rzęsiście oświetloną ciężarówkę. W

Inż. Majnka zaprowadził mnie również nad rzekę Damodar, skąd wybiera się piasek dla Sudamdihu metodą hydrologiczną, sposobem unikatowym (pomysł inżynierów indyjskich), ale zbiornik podszadzkowy jest nasz. Co chwila spotykam też kogoś, kto był w Polsce na szkoleniu. W kopalniach „Wujek”, „Wiczorek”, „Jankowice”, „Piasł”, „Wesoła”, „Staszic”.

Rozmawiam z menadżerem Sudamdihu Mr. S. K. Senem. Lista jego kłopotów jest długa. Praca idzie wprawdzie na trzy zmiany (niedziela wolna), ale z frekwencją słabą. Spora część załogi jest stała, mieszka wraz z rodzinami w pobliskim osiedlu, ale to ludzie bardzo prymitywni (więcej niż połowa analfabetów), nie wyszkoleni jeszcze należycie. Poza tym są chronicznie niedożywieni i słabi. Muszą często odpoczywać. To do czego w Europie potrzeba dwu ludzi, tu wymaga pięciu — sześciu.



To, do czego w Europie potrzeba dwu ludzi, tu wymaga pięciu-sześciu

nologia, że nieodpowiednio przymierzaliśmy się do tego przedsięwzięcia: „statycznie a nie dynamicznie”.

Spokojny zwykle inż. Biesek, zżyma się lekko, słysząc te zarzuty. Technologia akurat zawiniła najmniej. Po próbach z systemem radzionkowskim wdrażanym z pewnymi kłopotami w metalowych pokładach, a następnie z systemem kazimierzowskim (od kopalni „Kazimierz”), zaniechany ze względu na częste obawy — sprawdził się na koniec bardzo dobrze system jankowicki. Hębusi doskonale go sobie przyswoili.

Natomiast nie całkowicie sprawdziła się geologia. Sudamdih sygnęła niespodziankami. Badania nie wykazały tzw. intruzji magnetycznej. Oto niegdyś pod pokładami węgla istniał czynny wulkan. Lawa prąc w górę wypalała pokłady, wypychała je, przemieszczała licznymi uskokiemi na dziesiątki metrów. Stąd niezwykle strome nachylenie pokładów — od 25 do 60 stopni. I dlatego — choć model główny się ostał — mnogość owych uskokiów sprawia, że wydobycie nastęrcza wielkie trudności. Nie można było tego przewidzieć. Hindusi, którzy w 1973 roku opracowali samodzielnie obraz geologiczny kopalni w Ranchi — także wpadli w tę samą pułapkę intruzji magnetycznej.

skrzyni wozu kolorowo odziana figura Saraswati — bogini nauki i mądrości. W Kalkucie jej święto minęło już kilka dni temu, tutaj widać przedłużono je, tradycja w Indiach równie powszechna, jak gdzie indziej „murarskie poniedziałki”.

W ciągu następnych dwu dni oglądam kopalnie. Oprawdza mnie inż. Jerzy Majnka z Katowic, który dogląda obu, sprawując nadzór autorski. Są właściwie niemal bliźniacza podobne. I tu, i tam dwa szyby — wdechowy i wydechowy, dwa poziomy wydobywcze, jeden wspólny poziom wentylacyjny. Technologia podszadzania jest polska, jak również niektóre urządzenia, np. przenośniki zgrzeblowe Skat, Grot, Śląsk czy automatyczna maszyna wyciągowa K-6000 z wrocławskiego „Dolmelu”.

W szopie na terenie Munidihu leży piękna kolekcja naszego sprzętu: pulpity sterownicze, koła linowe, szafy rozdzielcze, kołowroty. Wartość — kilkadziesiąt mln rupii. Dostarczyliśmy go jeszcze w 1965 roku dla kopalni Kapuria (też projektu inż. Bieska), gdzie odstąpiono od inwestycji. Sprzęt leżał i niszczał. Na specjalne zlecenie przywrócił go do stanu używalności inż. Joachim Majewski z pomocą dwu naszych techników. Postuży teraz do głębenia szybu w kopalni Putki.

Spora robotników uprawia dodatkowo spłachetki ziemi. Są to właściwie górniczy sezonowi. Gdy nadchodzi żniwa, absencja wynosi nawet i 50 procent.

Inny, czysto lokalny, dezorganizujący czynnik to rozliczne święta religijne. Nie sprzyja też wydajności biurokracja oraz mnogość związków zawodowych. Już siedem osób ma prawo założyć związek i trzeba z nimi długo, bardzo cierpliwie dyskutować, tracąc wiele czasu. Np. związki nie zgadzają się na wypłaty raz w miesiącu, wolą tygodniówki. Demokracja w Indiach — uśmiecha się menadżer — jest pojmowana całkowicie opacznie.

O Polakach natomiast dyr. Sen ma zdanie jak najlepsze. Pomoc polska okazała się bardzo potrzebna i jest nadal oczekiwana. Pech chce tylko, że struktura geologiczna Sudamdihu należy do najbardziej skomplikowanych w świecie. Choćby i teraz, mamy znowu obwał na pierwszym poziomie.

Zjechaliśmy zaraz na dół (400 m), gdzie oczyszczeniem obwału dyrgował energicznie Alojzy Szweda, górnik z Jankowic, zresztą jeden z weteranów z Sudamdihu (pierwszy

CIĄG DALSZY NA STR. 16

Reflektorki

Przedpokój jest pomieszczeniem wymagającym dobrego oświetlenia. Mieszczą się tu na ogół szafy wnękowe, szafki na drobiazgi, lustro, garderoba itp. i aby mieć wystarczającą ilość światła nie zawsze wystarcza tradycyjna lampa zawieszona na środku pod sufitem, lub plafoniera z matowym szkłem.

Najlepszym rozwiązaniem będzie umieszczenie w przedpokoju lamp przegubowych lub reflektorków. Ich główną zaletą jest bowiem to, że światło można ustawiać w dowolnym kierunku, podświetlając sufit, lustro lub jakiś drobny elementumeblowania.

Pokazane na zdjęciu reflektorki zamontowane zostały na ścianie do wypuszczonych z niej uprzednio przewodów elektrycznych. Lamp przegubowych nie można niestety przymocować do ściany. Dlatego skorzystajmy z pomysłu zamontowania w przedpokoju półki (wnętrze jest wtedy nowoczesne i funkcjonalne), do której przyczepiamy lampy przegubowe.



Z kuchni do łazienki

Niezmiennie jesteśmy zdania, że przy urządzeniu mieszkania najważniejsze są: pomysłowość i inwencja. Prosimy spojrzeć na zdjęcie. Oto przykład niekonwencjonalnego podejścia: typowy żeliwny zlewozmywak pokryty białą emalią wpuszczono w szafkę kuchenną i wstawiono do łazienki. Powstała ciekawa umywalka.

Mógłby się ktoś zapytać dlaczego właśnie zlewozmywak zamiast tradycyjnej umywalki. Otóż dlatego, że bez problemu możemy zainstalować go na szafce, która wypełnia miejsce na ogół niewykorzystane. A przecież szafka świetnie nadaje się do chowania pudełek z proszkami, butelek ze środkami piorącymi, ściereczek, szczotek itp. Dodatkowo zlewozmywak zaopatrzone jest w tzw. „fartuch”, który jest doskonałym miejscem na mydło, szczoteczkę do paznokci, krem do rąk oraz na inne przedmioty, które lubimy mieć w zasięgu ręki przy myciu.

W sklepach spotykamy wyłącznie białe zlewozmywaki. Toteż oko nam się otworzyło z zachwytem kiedy zobaczyliśmy na Targach Poznańskich piękne zlewozmywaki w kolorach: czerwonym, pomarańczowym i zielonym (były również i identyczne wanny). Na pytanie dlaczego nie ma ich na rynku, producent odpowiedział, że sam jest tym faktem zadziwiony, gdyż może dostarczać każdą ilość kolorowych zlewozmywaków i wanien na rynek, ale niestety — handel ich nie zamawia, bo ponoć nie idą! Błędne koło! Jak mogą „iść” skoro nikt ich nigdy nie widział?

Zdjęcia: M. Baranowski



ZAMASKOWANA ZBRONIA

ODCINEK (19)

Pięcioletnia Krystyna Sundelin, córka premiera Szwecji i jej opiekunka Annika Borgen zostały podstępnie uprowadzone. Trójka porywaczy: Bosse (inicjator przestępstwa), Arne (młody kombinator) i Ing-Marie (przyjaciółka Arnego) ukryli twarze za maskami-zabawkami, postaciami z dziecięcych opowiadań. Prezes Rady Ministrów Królestwa Szwecji Bent Sundelin dostaje list od porywaczy: za życie jego córki żądają uwolnienia i odesłania do innego kraju Jensa Forsa — zabójcy ambasadora USA w Szwecji. Władze czynią wszystko, by sprostać tym żądaniom — w MSZ zapadła decyzja, że Fors zostanie wysłany do Albanii. Tymczasem premier otrzymuje kolejny list — okazuje się, że sprawa Forsa jest dla porywaczy pretekstem, a faktycznie żądają wysokiego okupu. Premier prosi oddelegowanego do jego osobistej ochrony policjanta Jana Olssona o pomoc i pośrednictwo w przekazaniu pieniędzy porywaczom. Olsson godzi się na to tylko dlatego, że od jego decyzji zależy życie dwóch osób. Trójka przestępców jest skłócona: Arne powiadamia Bossego, że posądzając o zdradę Ing-Marie zabił ją. W rzeczywistości oboje mają zamiar oszukać współnika. Przebiegły Bosse domyśla się jednak wszystkiego, niespodziewanie zjawia się w hotelu, gdzie zamieszkała Ing-Marie i morduje ją. Właściciel sklepu z zabawkami (w którym Ing-Marie kupiła maski) zawiadamia policję kryminalną. Śledztwo prowadzi Lars Kollin, wieloletni szef sztokholmskiego wydziału morderstw. Trwa konferencja prasowa...

— Czy możemy się dowiedzieć, co się zdarzyło? — zapytał dziennikarz będący jedynym wśród zgromadzonych reporterem od spraw kryminalnych.

— W hotelu „Chatka” znaleziono kobietę, która została pozbawiona życia. Prawdopodobnie uduszona.

— Możemy usłyszeć jej nazwisko?

— Nie.

— Czy krewni nie zostali zawiadomieni?

— Nie.

Znowu cisza. Kollin obojętnie wpatrywał się w sufit. Rozpiął marynarkę, a ponieważ przy koszuli brakowało guzika, w szparze widać było wielkie oko ażurowego podkoszulka.

— Czy policja natrafiła na jakieś ślady, którymi może podążać?

Pytanie to postawił dziennikarz, będący specjalistą od spraw kościelnych, przysłany na konferencję przez niełitościwego sekretarza. Kollin spojrział na niego zimno.

— Gdybyśmy nie potrafili odkryć śladów spełnilibyśmy nasze zadania w pożalowania godny sposób — odpowiedział Kollin.

— Chodziło mi raczej o to, czy ktoś jest podejrzany.

— Bezpośrednio nikt.

— Czy to sformułowanie oznacza, że policja śledzi kogoś?

— Moje wypowiedzi każdy może tłumaczyć sobie jak chce.

Teraz zdobyła się na odwagę dziennikarka, która pisywała długie zaangażowane artykuły o ochronie środowiska. Bez przerwy paliła. Specjalista od spraw kościelnych, który siedział obok niej, wciąż machał ręką, by odpędzić chmurę dymu.

— A jak z personelem? — zapytała.

— Kuso jak zwykle — odpowiedział Kollin.

— A czy nie ma specjalnych trudności w związku z wydarzeniami ostatnich dni?

Kollin dobrze rozumiał, co pytająca ma na myśli, ale udął, że nie wie o co chodzi. Lubił robić z siebie człowieka zupełnie pozbawionego fantazji.

— Nic specjalnego nie mieliśmy. Parę pijackich rozróbek.

— Chodziło mi o sprawę Sundelina.

— To nie przypadło mojej brygadzie — wyjaśnił Kollin.

— Czy to morderstwo nie może mieć jakiegoś związku z porwaniami?

— Mnie trudno dostrzec jakiś związek między przestępstwem na tle politycznym, a morderstwem seksualnym.

— Ach, więc jest to morderstwo na tym podłożu — wtrcił reporter kryminalny.

— W każdym razie są przypuszczenia tego rodzaju.

— Czy zamordowana była prostytutką?

— Tego bym nie powiedział, miała jednak duży krąg znajomych.

Nawet specjalista od spraw kościelnych zrozumiał, że z tego określenia wynika, iż zamordowana była lafiryndą.

— Czy tego typu morderstwa trudne są do wyjaśnienia? — zapytał.

— Tak, cholernie trudne — odpowiedział Kollin.

— Kiedy dowiemy się nazwiska?

— Zostanie podane przez agencję prasową.

Dziennikarze zbici z tropu spoglądali na siebie, każdy usiłował wymyślić inteligentne pytanie. Nikomu się nie udało. Kollin dalej patrzył w

sufit. Jakby zupełnie nie uświadamiał sobie kłopotliwej ciszy.

— Więcej pytań nie ma — powiedział nagle.

Dziennikarze — zadowoleni, że ekscentryczny pracownik policji z opóźnieniem, ale dał jednak znak życia, zaczęli zbierać notatki.

— Cieszę się z okazanego zainteresowania — oznajmił Kollin uprzejmie.

Dziennikarze wyszli. Specjalistka od ochrony środowiska zapaliła nowego papierosa. — Jakim cudem podobny łepok mógł osiągnąć takie stanowisko?

Reporter od spraw kryminalnych pracujący w tej dziedzinie od dwudziestu lat spojrział na nią z irytacją.

— Pierwszy raz zdarzyło ci się spotkać Kollina?

— Tak.

— To jak wrócisz do swojej redakcji powinnaś zajrzeć do starych wycinków. Czytałeś jeszcze nie umiałeś, kiedy on był niezwykle dzielnym gościem.

Dziewczyna bez powodzenia usiłowała zachować obojętną minę. Uniosła płaszcz maxi i bez słowa zeszła po schodach.

— Chodźmy na gróg do piwnicy Pipers — zaproponował reporter kryminalny specjowi od spraw kościelnych.

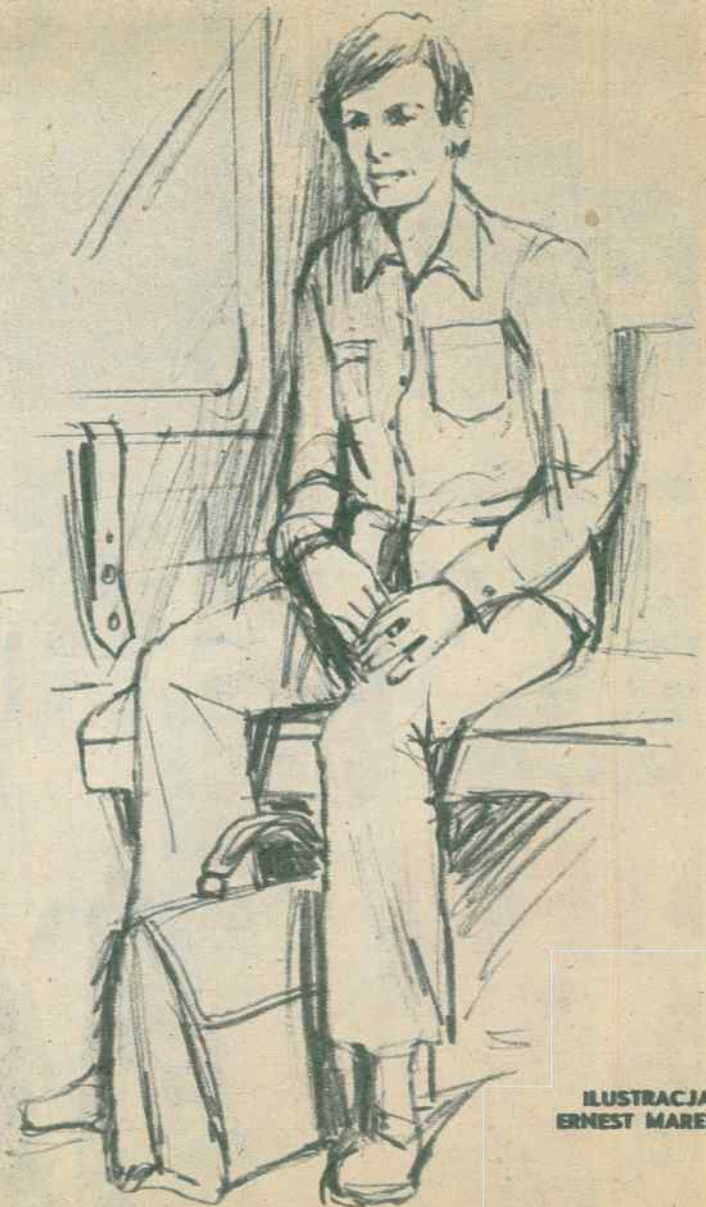
— Dobrze byłoby, ale muszę jednak coś napisać.

— Możesz przekazać telefonicznie z knajpy. I tak nie wejdzie do numeru. Chodź.

Na gorze Kollin rozmawiał z najbliższym człowiekiem, Börjessonem. Współpracowali od wielu lat i nie musieli zbyt wiele mówić, żeby się doskonale zrozumieć.

— To była wspaniała konferencja, niech to diabli — powiedział Kollin.

— Mają cię za idiotę.



ILUSTRACJA:
ERNEST MAREK

— No, w każdym razie na pewno ta dziewczyna, która dymila cały czas jak komin. Miał od dawna mnie zna. On jest swój.

— Coś zamierzasz? — zapytał Börjesson.

— Tak — przyznał Kollin.

— Chcesz jednak zadzwonić do Gustavsona?

— Zastanawiałem się, ale doszedłem do wniosku, że można to sobie darować.

— Można.

— Na pewno?

— Tak.

Kollinowi ulżyło.

— To idziemy do domu — powiedział. — Nic już dziś nie zdziałamy.

— Myślisz, że to Risefelt?

— Tak. Wkrótce chyba wypytanie. On nie wydaje się typem, który potrafi trzymać się na uboczu przez dłuższy czas.

— Morderca musiał wejść od podwórza.

— Prawdopodobnie, ale czy to wiadomo? Nie jest pewne, czy ta stara baba cały czas siedziała i pilnowała wejścia. Może była w ustępie?

— Możliwe. Myślisz, że Gustavson sam zużytkuje tę informację sklepikarza?

— Nie, a jeżeli nawet utknie, to w wyższej instancji. To przecież nie ma znaczenia.

— Dlaczego?

— Nie wiem, może się mylę, ale wydaje mi się, że ci porywacze mają zapewnioną zupełną bezkarność.

— To nie zostało wcale powiedziane.

— Nie wprost, ale jestem pewien, że tak jest. Czy zwrócicie uwagę na całe to cholerne wyciszenie nie tylko w SAPO, ale i w państwowej policji? Jak przylapiemy Risefeltę, najsmardziej będzie nie wspominać o Sundelinie.

— Więc myślisz, że to ma coś wspólnego z Sundelinem?

— Nie, żadnego rozsądnego powodu nie ma, żeby tak przypuszczać. Tylko że...

— Intuicja.

— Tak, ale nie zawsze można jej ufać.

— Nie.

Zadzwonił telefon. Kollin z udręczoną miną podniósł słuchawkę.

— Kollin. — Szybko zakrył ręką mikrofon. — To Gustavson — powiedział do Börjessona.

— Z czego sobie zyczysz? — zapytał odstoniwszy mikrofon.

— Widziałem na taśmie telexu, że spadło ci na kark morderstwo.

— Tak.

— I zauważyłem, że dziewczyna miała na imię Ing-Marie. A był tu dziś u mnie niejaki Gustav Enberg z wiadomością w sprawie Sundelina, dotyczyło to dziewczyny o imieniu Ing-Marie.

— Wiemy.

— Co wiecie?

— O tej całej historii z maskami. Mówił nam o tym. Sprawdzaliśmy. Nic wspólnego z Sundelinem to nie ma.

— Tak sądzisz — powiedział Gustavson wyraźnie zadowolony. — To dobrze. Możemy to skreślić.

— Bez wahania. A nikogo więcej nie trzeba zawiadomić?

— Nie, nikomu o tym nie wspominałem. Nie zdążyłem nawet.

— No więc dobranoc.

— Dobranoc.

Odwrócił się do Börjessona.

— O, właśnie to — powiedział.

— Tak, właśnie to.

POCIĄG

Jan Olsson poszedł na stację kolejki podziemnej w Stureby. Zajęło mu to dziesięć minut, jazda do centralnego dalsze szesnaście minut. Był tam już o drugiej.

Czuł się odrobinę podniecony, ale nie tak znów bardzo. Zdenerwowanie zupełnie zniknęło po wypiciu whisky w dworcowym barze.

Wiedział, że pociąg do Sollentuny odchodzi o 14.42 z peronu piętnastego. Miał więc czas i siedział w barze prawie do wpół do trzeciej. Potem powlókł się wolno na ukos przez ogromny obszar posadzki centralnego placu.

Koło peronu dziesiątego zszedł schodami na niższy poziom podziemny. Paru zziębniętych zamiejskowych biegło tam gorączkowo kupując gazety, czekoladę i kawa przed wyjazdem do Växjö i Sundvall.

Bilet kosztował dwie korony dwadzieścia. Parę minut czekał, nim pociąg podjechał na peron. Były cztery wagony. Kilkudziesięciu podróżnych opuściło pociąg.

Olsson wszedł do ostatniego wagonu. Obite zielonym materiałem ławki były bardzo niewygodne. Zupełnie uniemożliwiły oparcie się plecami. Olsson zjadł jabłko i rozjeździł się szukając śmietniczki. Nie było. Otworzył więc okno i wyrzucił ogryzek na tor.

Pasażerów było niewiele. Obok Olssona siedziała jakaś starsza pani. Jej mąż pieczołowicie zdejmował szarą popielinową marynarkę. Szukał wieszaka, lecz zarząd kolei jakoś o nich nie pomyślał. Westchnąwszy położył marynarkę na półce.

Olsson postawił torbę z pieniędzmi między nogami. Była brązowa z suwakiem. W środku znajdowało się pół miliona koron w dziesiątkach, pięćdziesiątkach i setkach.

Dostał torbę od Sundelina tuż przed wyjazdem. Otworzył zamek błyskawiczny i stwierdził, że jest wypełniona starannie ułożonymi paczkami banknotów.

— Jest tu całe pół miliona?

— Oczywiście — zapewnił Sundelin. — Nie przypuszczasz chyba, że wpadłoby mi do głowy szachrować w takiej sprawie.

Olsson świadomie zwlekał z odpowiedzią.

— No oczywiście, że nie — powiedział w końcu. — Chcę tylko mieć pewność, że wszystko się uda.

— Musi się udać. Nie pojmuję tylko, w jaki sposób otrzymamy informację o sposobie uwolnienia dziewcząt.

— Trzeba czekać — stwierdził Olsson.

A teraz siedział w pociągu. Miał na sobie dżinsy i wyrzuconą na wierzch koszulkę. Był bez broni.

Pociąg podjechał do Karlberg. Starsi państwo siedzący naprzeciw Olssona rozmawiali o porwaniu.

— Na pewno obie nie żyją — powiedziała żona.

— Naprawdę tak myślisz?

— Jestem pewna. Komuniści zdolni są do wszystkiego.

— Są i bardzo przyzwoici komuniści — zaoponował mąż. — Znasz Hanssona. Komunista, a nic mu przecież nie można zarzucić.

— Nie o takich komunistach myślę — sarknęła żona. — Mam na myśli tych z KMML.

Stońce niemitosiernie świeciło wprost w oczy. Olsson rozejrzył się tym razem w poszukiwaniu rolet, ale i to potraktowano widocznie jako zbędny luksus. Olsson wziął torbę i przeniósł się na przeciwległe miejsce.

— I za łagodnie z nimi postępują — podjęła rozmowę starsza pani. — Na przykład ten Fors. Morderca, a przecież uniknie kary.

— To chyba wystarczająca kara, że będzie musiał mieszkać w Albanii.

Pociąg zatrzymał się na stacji Ulriksdal. Po prawej stronie widać było ruiny toru wyciągowego. W odległości paruset metrów kilka koni pąsało się zupełnie spokojnie. Autostradą E-4 sunął strumień samochodów.

Olsson dojechał do Helenalund. Strone usypiska żwiru opadały ku torom. Rósł tam dziki łubin we wszystkich kolorach tęczy. Starsi państwo wysiedli. Został sam w wagonie.

Na następnej ja wysiadam, pomyślał.

Pociąg był w Sollentunie tuż przed trzecią. Olsson sprawdził na rozkładzie jazdy, że pociąg z przeciwnej strony przyjeżdża dopiero o 15.21. Czasu miał dość.

Wyszedł przez obrotową barierę i schodami w dół, potem przejściem w prawo dostał się na stację. Kupił „Express”. „Czy dziś będą wolne?” — widniało na pierwszej stronie pod podobiznami Krystyny i Anniki.

Olsson powrócił tą samą drogą, znowu zapłacił 2,20. Usiadł na ławce i wyjął notesik. Zapisał wydaną kwotę. Zawsze nalał wydatki, by mieć podstawę do zwrotu kosztów.

Dla pewności raz jeszcze przeczytał ostatni list szantażystów. Pierwszy wagon. Wyliczył sobie, gdzie mniej więcej może się zatrzymać pierwszy wagon i przeniósł się na inną ławkę.

Na peronie było niewiele osób. Paru lekko zalanych mlakosów udających się do miasta na wieczorne ćwiczenia, kilka rodzin, jakiś mężczyzna w wiatrówce, dwie młode pary.

Olsson czytał gazetę. Spoglądał na zegarek. Jeszcze pięć minut. W gazecie nie było nic godnego uwagi, wrzucił ją więc do stojącego obok kosza.

Wstał, oburącz mocno trzymając torbę. Szyny dzwoniły lekko. Pociąg się zbliżał.

Ale to nie był osobowy, tylko pospieszny z północy, pędem minął stację rodmuchując papiery i śmieci na peronie. Jakieś dziecko krzyknęło głośno i przenikliwe.

— Nie powinien mijać stacji w takim tempie — oburzyła się matka.

— Cóż za cholerna bałagan — rzekł ojciec patrząc groźnie za prawie już niewidocznym pociągiem.

Nadjechał jednak i osobowy. Olsson przeprowadził go wzrokiem. Pociąg zahamował, stanął. A więc teraz.

Dobrze sobie wszystko wyliczył. Pierwszy wagon zatrzymał się przed nim. Skierował się do przednich drzwi, zajrzał.

Na platformie dla stojących było pusto. Na ławkach siedziało parę osób. Żadna z nich nie wyglądała jednak na przebiegłego szantażystę.

— Uwaga drzwi się zamykają — ogłosił megafon.

Drzwi zasunęły się, a Olsson został z brązową torbą zawierającą pół miliona w gotówce. Westchnął. Wrócił na ławkę.

Co ma teraz robić? Po krótkiej chwili zdecydował, że poczeka na następny pociąg, choć bez większych nadziei. Widocznie porywacze w ostatnim momencie rozmyślił się.

Zbytnio zaskoczony nie był. Prawdę mówiąc obawiał się takiego rozwoju wypadków, tylko odpędzał tę myśl. Cóż to będzie za wstrząs dla Sundelina, który takie nadzieje wiązał z dzisiejszym dniem. Olsson już z przerażeniem myślał, że trzeba do premiera zadzwonić, powiedzieć, że wszystko na nic.

Wyciągnął z kosza wyrzuconą gazetę i od deski do deski przeczytał relację o zamordowaniu Ing-Marie. Tytuł brzmiał: „SMIERĆ MORDERKI”. „Zamordowana dziewczyna — jak pisano — była piękna i pełna radości”.

„Być może jednak zbyt wiele wiedziała o szarej rzeczywistości kryjącej się za piękną fasadą” — pisał reporter, by wdać się w zawite rozważania o bezwzględności podziemnego świata.

Olsson znowu wyjął notes, w którym był rozkład jazdy i przejrzał tabelę przyjazdów pociągu z Mörsty do Sollentuny. Jeżeli się nie myli, następny będzie o 15.57.

Ktoś usiadł obok niego. Oderwał oczy od gazety i zobaczył, że to ten mężczyzna w wiatrówce. Miał krótko ostrzyżone, trochę szakowane włosy. Bawił się piątkiem kluczy.

— Dzień dobry — powiedział miękim głosem. — Wydaje mi się, że mamy wspólnego znajomego. Nazywa się Sundelin, prawda?

ODJAZD

W tym samym mniej więcej czasie gdy Bosse nawiązał kontakt z Olssonem, Jens Fors pod silną eskortą policji jechał na Arlandę. Dostał nowe ubranie i wyglądał schludnie, jeśli nie brać pod uwagę brody, jak zwykle zmierzwionej.

Siedział z tyłu między dwoma pracownikami tajnej policji, którzy mieli mu towarzyszyć do Tirany. W poprzedzającym ich samochodzie jechał szef policji, który uparł się, że sam przeprowadzi całą operację.

Fors siedział milcząc, z zamkniętymi oczami. Cały orszak wozów jechał z dużą szybkością ku Arlandzie, gdzie na znakomitego podróżnika czekał okazały zastęp prasy, radio i telewizji. Między reporterami krążyła całkowicie niedorzeczna wieść, że Forsowi pozwolą na konferencję prasową.

Dwaj policjanci mieli odlecieć z Forsem do Tirany, przenocować tam i wracać do Szwecji. Specjalnie zachwyceni tym zadaniem nie byli.

— Po co u licha akurat w Albanii? — spytał jeden.

— To nie ja decyduję — z godnością odpowiedział Fors.

— A w takim razie kto?

— Tego nie zdradzę.

— Mniejsza z tym.

W samochodzie zapanowało milczenie. Forsowi najwyraźniej nie podobała się obojętność policjantów.

— Tylko nie udawajcie — powiedział nagle. — Zwykły podstęp tajników. A tak naprawdę to okropnie jesteście ciekawi, skąd otrzymuję rozkazy.

— A pewnie — przyjaźnie powiedział drugi policjant.

I ta odpowiedź nie zadowoliła Forsa, znowu jak ślimak ukrył się w skorupie. Po chwili znowu odezwał się.

— Podlegam bezpośrednio Mao — oznajmił dumnie.

Z początku policjanci roześmiali się. Potem spojrzeli na grabowo poważnego Forsa i popatrzyli na siebie.

— Aha — powiedział jeden. — To nieźle.

Fors uśmiechnął się. Ruda broda zaśmiała w słońcu.

— Tego się nie spodziewaliście! — Rzeczywiście nie.

— Miałem bezpośrednią linię od przewodniczącego Mao do mojej celi. Ten wyjazd do Albanii to tylko manewr maskujący. Z Tirany pojedzie do Pekinu.

Policjanci raz jeszcze wymienili spojrzenia. Zrozumieli, że mają do czynienia z człowiekiem, który całkowicie stracił kontakt z rzeczywistością.

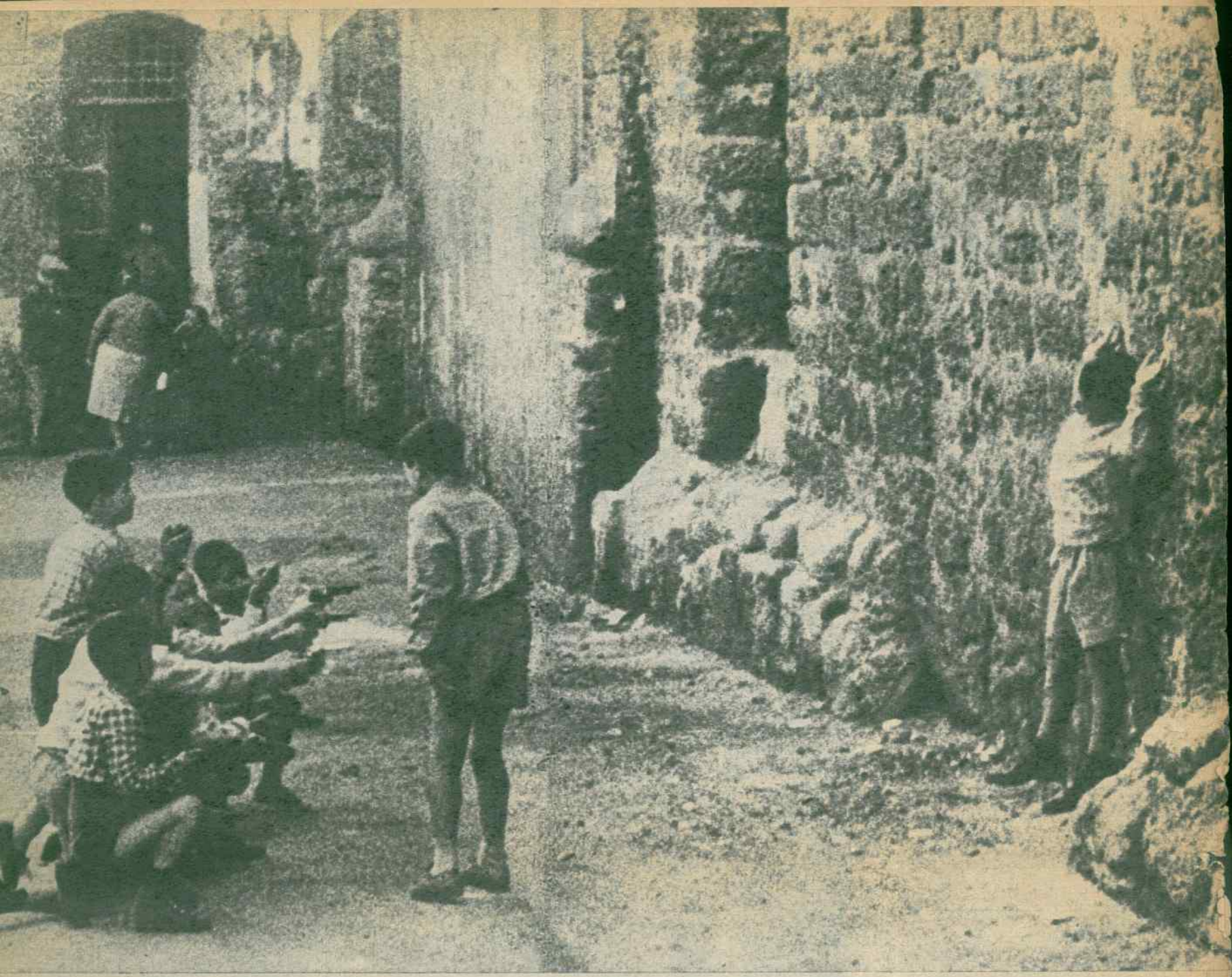
— Mogę postużyć się radiem? — powiedział jeden z agentów do kierowcy.

Połączył się z wozem komendanta policji.

— Proszę o rozmowę po przybyciu na Arlandę. W ważnej sprawie.

— Zgoda — zabrzmiała krótka odpowiedź.

CIĄG DALSZY NASTĄPI



BEZ ODPOWIEDZIALNOŚCI

Oto 13-latek z Essen, bawiąc się w napad na bank poderżnął gardło kole-dze grającemu rolę zakładnika.

Troje dzieci z okolicy Hanoweru strzelało z łuku, ostrymi strzałami, do „jeńców”, dzieci młodszych, aby potem torturować je aż do krwi.

Dwie 14-letnie dziewczynki z Kevēlaer udusiły „dla zabawy” 7-letniego chłopczyka.

Koło Hanoweru 15-latek udusił małą dziewczynkę ponieważ — jak oświadczył — „to tak ładnie gdy w telewizji ktoś zostaje zabity”.

STERN stwierdza prawdę oczywistą: dzieci uczą się brutalności od dorosłych. I pisze:

- co roku około 150 dzieci w RFN zostaje zabitych przez swoich rodziców, 300 wskutek bicia ulega trwałemu kalectwu;

- co drugie dziecko w zachodnioniemieckiej szkole jest bite przez nauczyciela;

- 250 milionów zeszytowych powieści i 300 milionów komiksów przynoszą dzieciom w RFN co roku niezliczone ilości przykładów okrucieństwa;

- na zachodnioniemieckich ekranach telewizyjnych ukazuje się co tydzień 200 przypadków przestępstw z 80 trupami.

Suelberg pisze: „Dzieci rejestrują z pewnością jedno — kto szybciej strzela, szybciej uderza nożem, silniej bije ten jest z reguły zwycięzcą”.

Tym przykładom towarzyszą na łamach STERNA obszernie wywody zmierzające do uzyskania odpowiedzi na pytanie: dlaczego tak się dzieje. W uczone dywagacje wciągnięty został nieśmiertelny Zygmunt Freud i nowszy amerykański badacz agresji John Dollard — o wszystko po to, aby przyczyn rosnącej agresywności i brutalności dorosłych i dzieci w Republice Federalnej Niemiec doszukiwać się w głębinach i mrokach ludzkiej psyche — nie zaś w kształtujących człowieka warunkach społecznych.

A przecież nie jest przypadkiem, że nasilająca się fala brutalności przelewa się przez wszystkie rozwinięte kraje kapitalistyczne objęte

kryzysem gospodarczym i towarzyszącym mu kryzysem wszelkich wartości społecznych i moralnych. I o ile racją jest, że frustracja rodzi okrucieństwo, o tyle nie we frustracji jednostki kryje się całe zło — lecz we frustracji społecznej, wstrząsanych w swych podstawach materialnych i moralnych, przeżywających kryzys instytucji burżuazyjnych — i tradycyjnych burżuazyjnych wartości.

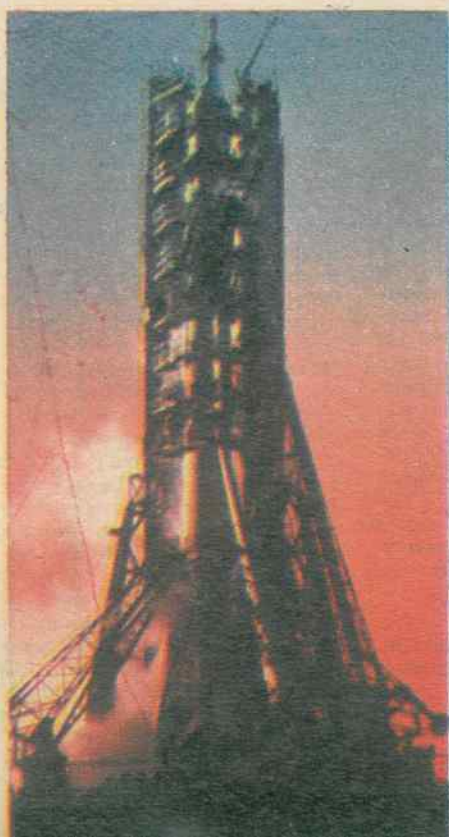
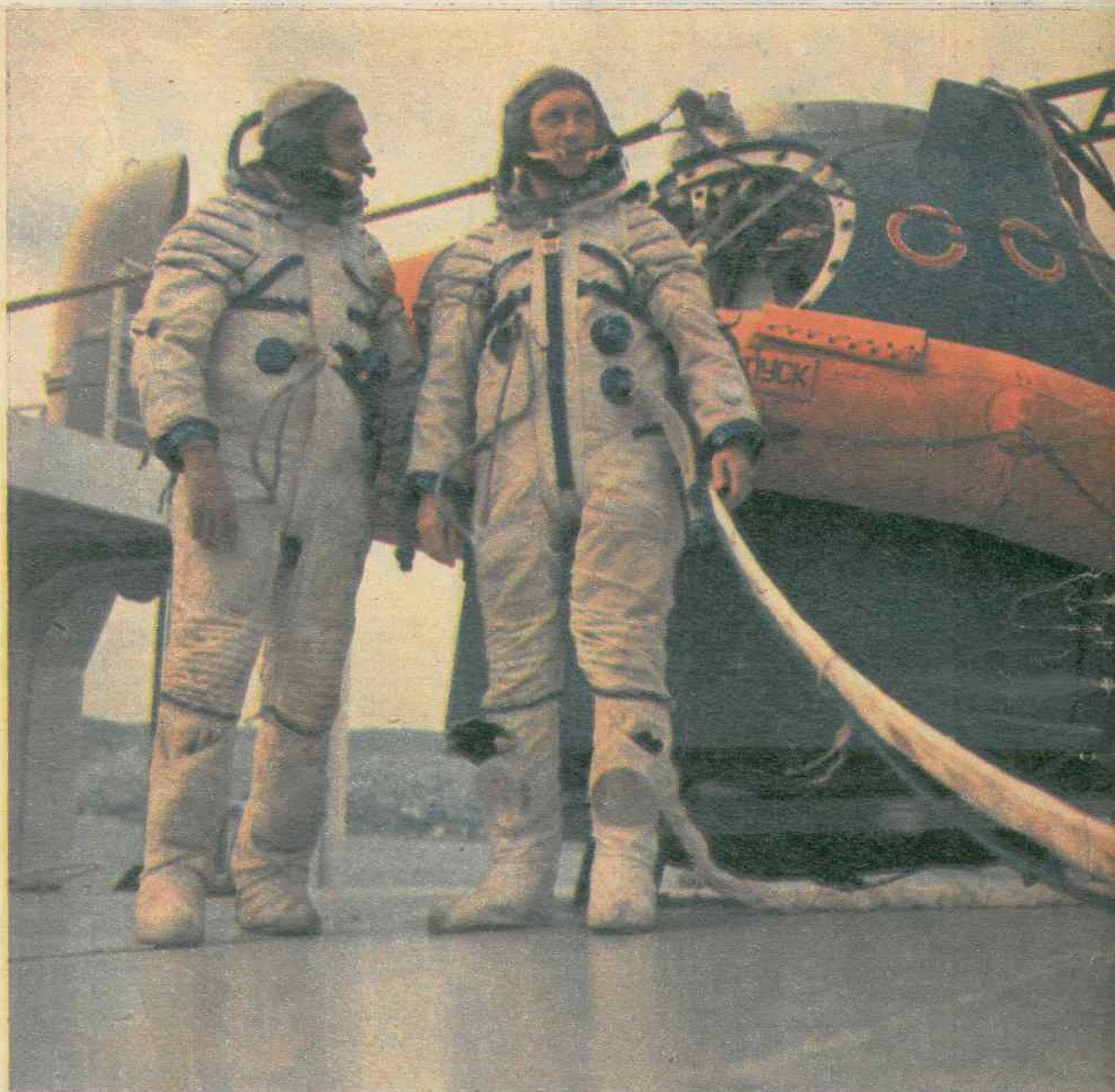
Trzeba także zauważyć, że autor alarmującej publikacji w STERNIE nie dostrzegł określonej specyfiki zachodnioniemieckiej: nieprzezycięzonej przeszłości hitlerowskiej. Znajduje ona ostatnio wyraz w niezliczonych publikacjach wręcz gloryfikujących epokę III Rzeszy. To przeszłość, nie tylko nieprzezycięzona lecz wręcz odżywająca w formie propagandy i rosnącej aktywności neohitlerowskich bojówek (patrz PANORAMA nr 17 z datą 23. IV. 1978 r.) — ukazuje się nagle pod makabryczną postacią

chłopca w hełmie, z Eisenkreutzem, pistoletem i miną znakomicie przypominającą jego starszych braci z SS. A cóż powiedzieć na widok makabrycznej dziecięcej zabawy „w egzekucję” toczącej się gdzieś na podwórku zachodnioniemieckiego miasta? A jak zareagować na widok zabawki-gilotynki, tak pięknie nawiązującej do hitlerowskiego upodobania w krwawej „Kopfmaschine”?

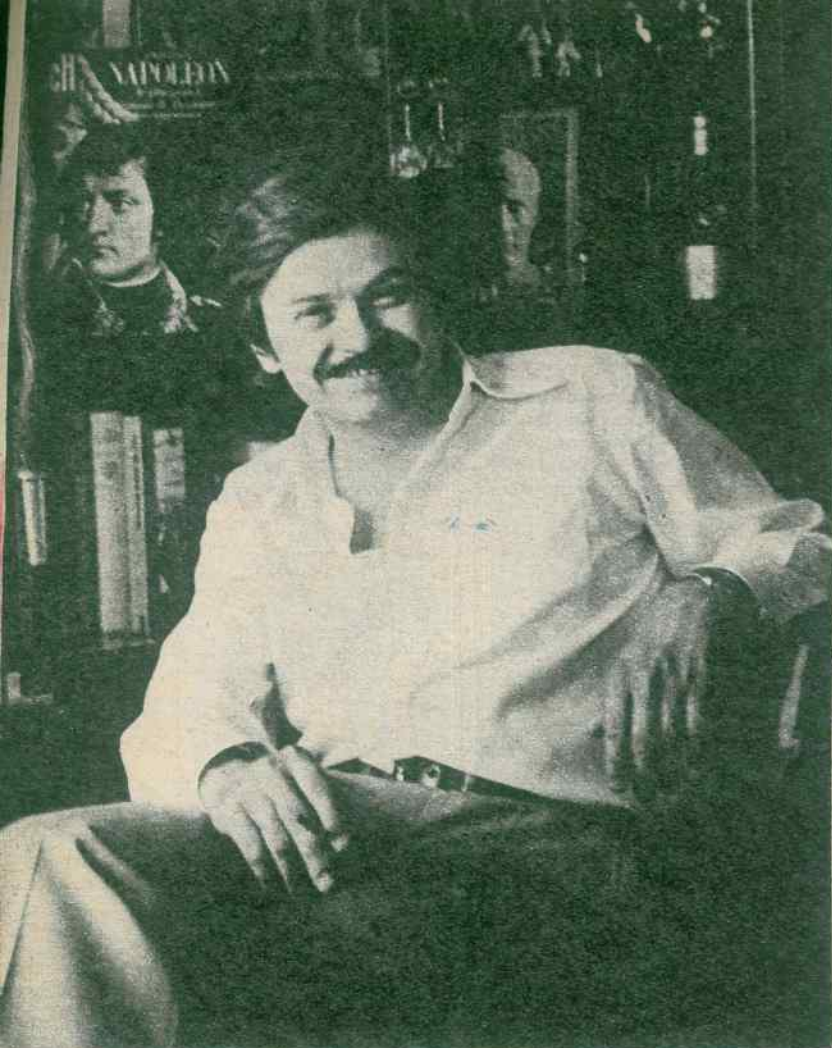
Jeśli już w mrokach ludzkiej duszy szukać przyczyn narastającego okrucieństwa i brutalności zachodnioniemieckich dzieci — to w duszach tych, którzy trują te dzieci próbami tworzenia hitlerowskiej „legendy”, którzy sami tkwią do dziś po uszy w kulcie brutalnej siły, gwałtu, okrucieństwa. Tragiczne dla zachodnich Niemiec, niepokojące dla Europy jest to, że mogą oni w RFN działać jak dotąd bez ograniczeń i bez odpowiedzialności.

KOSMICZNY LOT OBYWATELA

Kosmiczny lot obywatela Niemieckiej Republiki Demokratycznej ma doniosłe znaczenie nie tyle tam, w Kosmosie, ile tu – na Ziemi. Jest on kolejnym wymownym dowodem twórczej siły internacjonalizmu, łączącego kraje i narody socjalistycznej wspólnoty, skupione wokół mocarstwa wyrosłego z idei Lenina – Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Jest wyrazem roli i znaczenia Niemieckiej Republiki Demokratycznej – nierozrwalnego ogniwa tej wspólnoty. Jest przykładem wyższości wzajemnych stosunków państw realnego socjalizmu nad współzyciem czołowych państw kapitalistycznych: lot kosmonauty rodem z RFN jest nad Renem ciągle jeszcze przedmiotem marzeń i targów z amerykańskim patronem. My, Polacy, cieszymy się tym kolejnym sukcesem naszych przyjaciół i sojuszników zza Odry. Ta nasza radość wynika z nowej jakości więzów między narodami, które kształtuje socjalizm – jego idea i jego codzienna praktyka.



MATERIAŁ PRZYGOTOWANY
PRZY WSPÓLPRACY
REDAKCJI
„NEUE BERLINER ILLUSTRIERTE”



— Wielu ludzi czytając moje książki uważa mnie za utalentowanego playboya, który jeździ po świecie i szaleje. A ja mam żonę i dzieci, które kocham, normalny, mieszczański dom

Zdjęcia: STANISŁAW GADOMSKI

zdrocił mu jego sławy do tego stopnia, że kazal się namalować pod Samosierrą, mimo że tam nie był — po cichu wybił medal „Polacy cności” z własną podobizną. Kolportował medal gdzie się dało! Pech chciał, że nie mógł wyplacić się współnikowi, który ten medal wybił i wtedy wszystko wyszło na jaw.

„P”: — Napoleonowi i jego czasom poświęcił pan kilka książek: „Szuńska ballada”, „Francuska ścieżka”, „Empirowy pasjans”. Są one rezultatem pana wieloletnich dociekań, wędrówek po bibliotekach i archiwach świata. Jest w pana relacji o tamtych czasach wiele rzetelnej „profesorskiej” wiedzy, zadziwiającej erudycji, ale najciekawsze jest chyba to, że na ów minłony świat patrzy pan jak marzyciel i poeta.

W. Ł.: — Stosunek do Napoleona jest u nas ekstremalny: albo się go ślepo wielbi, albo ślepo nienawidzi, jako tego, który „oszukał Polaków”. Lada dzień wyjdzie moja książka „Cesarski poker”, w której staram się udowodnić na podstawie faktów, że Napoleon wcale Polaków nie oszukał. Stworzył wolne państwo, którego nie zdołaliśmy wyrzucić sami, powiększył je dwukrotnie w 1809 roku, a w 1812 chciał zrobić jeszcze większe.

Mówi pan, że inaczej tę epokę przedstawiam. To jest konieczne. Ankiety prowadzone wśród młodzieży dowodzą, że ucieka ona od historii. Dlaczego? Bo że piszemy o historii. Powinno się tak pisać, żeby była to encyklopedia dla naukowca, a czytało dla czytelnika. Stąd moja marzycielsko-sentymentalno-romantyczna, a czasem i mistyczna forma.

„P”: — Czy to jest pana odpowiedź na zarzuty, że dość swobodnie obchodzi się pan z faktami?

W. Ł.: — Jeśli interpretacja danego faktu nie odpowiada moim we-

wnętrznym przekonaniom, to przechodzę nad tym do porządku dziennego, a uwypuklam to, co mi odpowiada. Prawda jest tylko kwestią formy — powiedział Oscar Wilde. Nie znaczy to, że wolno mi fałszować fakty, naginać do swojej koncepcji, to byłoby nieuczciwe. Ale chciałbym, żeby mnie pan dobrze zrozumiał — ja nie lubię obiektywizmu, nie lubię być pośrodku. Wolę błędzić, ale być subiektywny. Tak jak napisałem w „Empirowym pasjansie” — tylko tematy obsesyjnie przeżywane są warte sprzedania, reszta to trawa, której nie pomoże nawet celofanowe opakowanie.

„P”: — W świadomości wlelu ludzi Napoleon istnieje w postaci mitu wodza, polityka i prawodawcy...

W. Ł.: — ...i to jest podstawowy błąd. Nie widzimy w nim człowieka. Był to człowiek niezwykle wszechstronny. Z trzema wybitnymi współczesnymi astronomami rozmawiał, jak równy z równymi. Był wybitnym matematykiem, świetnie znał się na teatrze — podczas odwrotu spod Moskwy przygotował i wystął do Paryża nowy statut dla Comédie Française. Jego rozmowa w Weimarze z Goethem o Szekspirze to jest coś fantastycznego! Był pionierem kultu Kopernika w Polsce. Pierwsze jego słowa w Toruniu brzmiały: — Czy macie tu pamiątki po swoim wielkim rodaku?! No i wreszcie to co powiedziałem — był człowiekiem. W ilości zamachów i spisków na jego osobę może z nim konkurować jedynie de Gaulle. Większość zamachowców Napoleon utaskawiał.

„P”: — Napoleon i jego epoka nie są pana jedyną pasją. Druga — to śledzenie losów postaci historycznych i literackich. Np. bohaterów Dumasa, takich jak Cagliostro, Nostradamus. Co interesuje pana w tych życiorysach?

W. Ł.: — Interesują mnie ludzie, którzy przed wiekami potrafili więcej, wzniesli się ponad epokę. Racjonalści wyśmiewali się dawniej z okultyzmu, spirytyzmu. Dziś sprawami tymi zajmują się poważne instytuty naukowe. Może więc Cagliostro i Nostradamus nie byli szarlatanami? Zarówno Dumas jak i Sienkiewicz dowiedli, że warunkiem zdobycia sukcesu jest fabuła osnuta na losach autentycznych postaci. Mnie właśnie interesuje prawdziwe życie tych bohaterów. Stąd docieranie do źródeł.

„P”: — Potrafi pan smakowicie grzebać w ubiegłych epokach, odnajdując w nich często zaskakujące związki z terażniejszością. Kiedy np. pisze pan o najpiękniejszej kobiecie empiru madame Recamier, w jej życiu znajduje pan związki z życiem najpiękniejszej kobiety XX wieku — Liz Taylor. Zaprasza nas pan do Asyżu i Florencji aby w naszych „rozpasanych” czasach wyrazić tęsnotę za surowymi zasadami moralnymi św. Franciszka i Sawonaroli. W Wolterze widzi pan nie tyle wielkiego filozofa, ile dostrzega pan w nim inne cechy: „pełen arsenał błazenstwa najwyższej klasy i brawurowe wolnomyślicielstwo na czwartym biegu”! Można chyba powiedzieć, że sprawdza się tu wyznawana przez pana zasada: „historia nie jest dla mnie czasem przeszłym”.

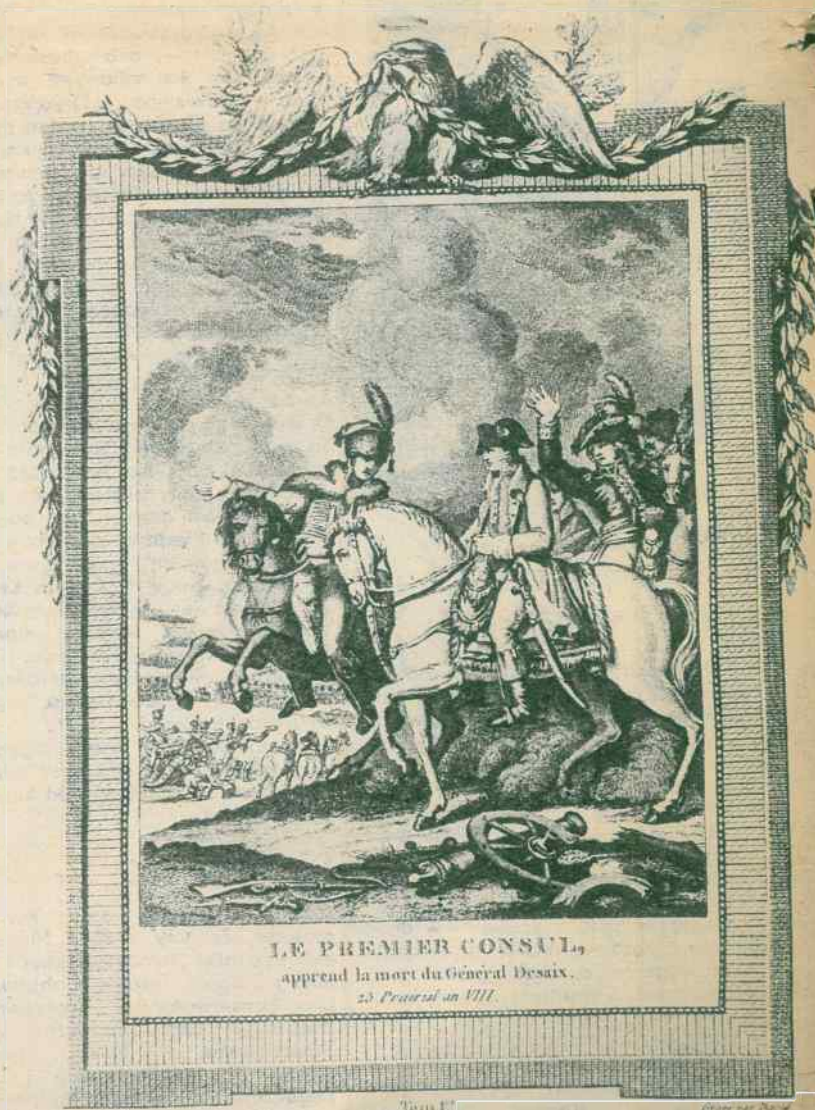
W. Ł.: — Historia jest dla mnie trampoliną do współczesności. Ale zarazem poruszam się niemal równoległe po historii i po współczesności, po sztuce i po filmie, bo to są kamyczki tej mozaiki, którą sobie wymyśliłem. Nie chciałbym, żeby z naszej rozmowy wynikało, że interesuje mnie tylko Napoleon i jego

epoka. Epoce napoleońskiej zawdzięczam bardzo dużo, uciekałem w nią, gdy było mi źle. Lecz to się powoli kończy. Z rzeczy napoleońskich wyjdzie jeszcze „Szachista” — powieść i zarazem praca naukowa oparta na tajnych dokumentach dotyczących próby porwania Napoleona przez komandosów angielskich w 1806 roku w Szamotutach! Piszę w tej chwili eseje o moich ulubionych dziełach malarskich. Nie interesuje mnie technika pędzla, historia obrazu ale to, co przeżywałem w kontakcie z obrazem. Piszę też książkę o legendach amerykańskich „Asfaltowy saloon”. Uwielbiam Salvadora Dali i chciałbym stworzyć literackie odbicie jego obrazów.

„P”: — Pana książki są spełnieniem marzeń współczesnego człowieka za czymś niezwykłym. Jak pan pisze — „winda, tranzystor, coca-cola, zupa w proszku, kronika ogłoszeń — to za mało”. Cóż wart byłby świat bez marzeń?

W. Ł.: — To są i moje marzenia. Wielu ludzi czytając moje książki uważa mnie za utalentowanego playboya, który jeździ po świecie i szaleje. A ja, proszę pana, mam żonę i dzieci, które kocham, normalny, mieszczański dom. Ale kiedy siadam przy biurku, jestem ze swoimi bohaterami, bądź pakuję walizki i wyjeżdżam na poszukiwanie swoich wysp zaczerpniętych. Ja chcę dać ludziom bajkę. Nie powinniśmy bajek wyrzucać do dziecinnego pokoju. Nie powinniśmy ich wyrzucać w ogóle.

Rozmawiał:
KAZIMIERZ TARGOSZ



Napoleon podczas bitwy pod Marengo otrzymuje wiadomość o śmierci generała Dessaix

ALICJA ANTONOWICZ-STALA, IRENA LANGE

Co się zmieści w przedpokoju...



Przedpokój jest tym miejscem w mieszkaniu, które możemy doskonale wykorzystać na umieszczenie tam tak potrzebnej w każdym domu szafy, pawlacza, szafek, półek i innych schowków. Należy jednak dokładnie zastanowić się, jak najbardziej funkcjonalnie wykorzystać całą przestrzeń, gdyż możliwości zagospodarowania przedpokoju jest wiele, wszystko zależy jednak od kształtu i powierzchni tego pomieszczenia.

Ostatnio spodobał nam się w jednym z warszawskich mieszkań przedpokój zabudowany kompleksowo w sposób funkcjonalny i pomysłowy. Jest to przedpokój dwuczęściowy, przy czym mniejsza część jest w kształcie prostokąta (1.10 m szer., 1.60 m dł.), natomiast większa ma kształt zbliżony do kwadratu. W przedpokoju znajduje się siedem otworów drzwiowych. Zabudowa została tak pomyślana, że udało się tu zmieścić: dwie szafki wnękowe (każda o szerokości 120 cm), trzy szafki wiszące, jedną szafkę stojącą z szufladą, lustro obramowane półkami oraz jeden pokątny pawlacz (o wymiarach: długość 1.60 m, szer. 1.10 m). Pawlacz umieszczony został nad całą mniejszą częścią przedpokoju. Ponadto znalazło się tu jeszcze miejsce na półeczkę ulokowaną nad drzwiami prowadzącymi do jednego z pokoi. Fragmenty ścian nie wykorzystane na szafy i szafki pokryte zostały boazerią, na której znalazło się miejsce na wieszak.

Zdjęcia: M. Baranowski



Nie tylko szafki

W kuchni spędzamy wiele godzin, a też i goście lubią się tu często zadomowić, o „urodę” kuchni należy więc dbać.

Aby nadać temu pomieszczeniu odrobinę indywidualnego charakteru, warto zwrócić do domowego lamusa — z pewnością znajdziemy tam przedmioty użytkowe, które można i warto wyeksponować. Po co ukrywać piękne ludowe łyżki, widelce, drewniane deseczki, mosiężne patelnie itp. — mogą doskonale ozdobić naszą kuchnię, a z pewnością w każdej, nawet tej najmniejszej, znajdzie się fragment ściany, który można udekorować tworząc z różnych przedmiotów ciekawą kompozycję.





torstwa estradowego. Występujący poza konkursem, eks-lider Procol Harum, Gary Brooker, daje próbkę „symfonizującego rocka” w stylu hard. Nie ma tylko niczego co znawcy życia festiwalowego mogliby obwołać przebojem... Nawet w konkursie płytowym, nie licząc odgrzanego przez półamatorski zespół Bonbon z Finlandii szlagieru prababci „Besame mucho”, pozostali wykonawcy trochę jakby przeintelektualizowani.

„Czyżby Interwizja chciała pouczyć Eurowizję, jak robi się festiwal artystyczny?” — pyta mój sąsiad z Wielkiej Brytanii i trudno mi dociec, czy w pytaniu tym mieści

się podziw, czy też dezaprobatę. W każdym razie Brytyjczycy w tym roku — w przeciwieństwie do „Lipsów” sprzed dwunastu miesięcy — postanowili pokazać się od najlepszej strony. Obok gwiazdy poza konkursem, Gary Brookera, zaprezentowali występującą w barwach Polydoru Maggie Ryder, której oryginalny, metaliczny głos był chyba największą wokalną sensacją tego aktorsko-muzycznego wieczoru.

DZIEŃ TRZECI

Jest więcej przebojów, ale Hiszpan Mochi, Węgierka Judith Szücs i nasz Krzysztof Krawczyk, lansowa-

SOPOT '78

Rekopies znaleziony w Operze



DRUPI

DZIEŃ PIERWSZY

Z niepokojem spoglądam na to, co wyrabia pani scenograf. Centralnym elementem dekoracji festiwalowej uczyniła ona zieloną ścieżkę, prowadzącą na pozór w głąb lasu okalającego Operę. Opera Leśna jest naprawdę piękna: reżyser festiwalu podczas spaceru między próbami znalazł pod jednym z drzew najprawdziwszego borowika... Ale droga z estrady wiedzie donikąd, trafiając w płot, a ściślej — w druciane ogrodzenie wokół amfiteatru. Ten fragment dekoracji przez cały czas trwania festiwalu będzie podsuwał natrętne skojarzenia lokatorom (bocznych skądinąd) ław dziennikarskich.

„Droga donikąd”, „Przeboje poszły w las”, „Kamerą w płot” — słyszę pierwsze notowania na reporterskiej giełdzie tytułów. Lecz zaraz pojawia się nowy temat rozmów: plecy Jacka Bromskiego... Nie, nie,

bez aluzji — kwestia jest jak najbardziej dosłowna. Jacek Bromski, stojąc podczas koncertu za pseudodyskotekową konsolą, usytuowaną dokładnie pośrodku amfiteatru, zastania widok kilkuset osobom, mogącym podziwiać w Operze zamiast sylwetek wykonawców — plecy popularnego prezentera.

I od razu dyskusje: jak rozstrzygnąć dylemat — publiczność Opery Leśnej czy 300-milionowe audytorium telewizyjne? Organizatorzy skłonni są rozwiązać sprawę postępując się czystą arytmetyką, nie pozostawiając tym marnym pięciu tysiącom w amfiteatrze żadnych szans. „Widzowie udający się do Opery wiedzą, że impreza jest transmitowana przez telewizję i decydując się mimo to na oglądanie jej z bliska, akceptują związane z tym ryzyko!”

Na pozór tak właśnie jest, nie tylko w Sopocie, ale także podczas mistrzostw świata w pitce nożnej... A jednak publiczność Mundialu miała zagwarantowaną znakomitą widoczność, nie tylko ze względu na dość słone ceny biletów, lecz przede wszystkim dlatego, że publiczność ta była jednym z aktorów rozgrywającego się przed kamerami widowiska. Także w Operze Leśnej publiczność jest przecież aktorem, współtworzącym nastrój imprezy. Bez niej nie byłoby festiwalu, a cały konkurs można by przeprowadzić w studiu — podobnie jak czyniła to nieraz Eurowizja.

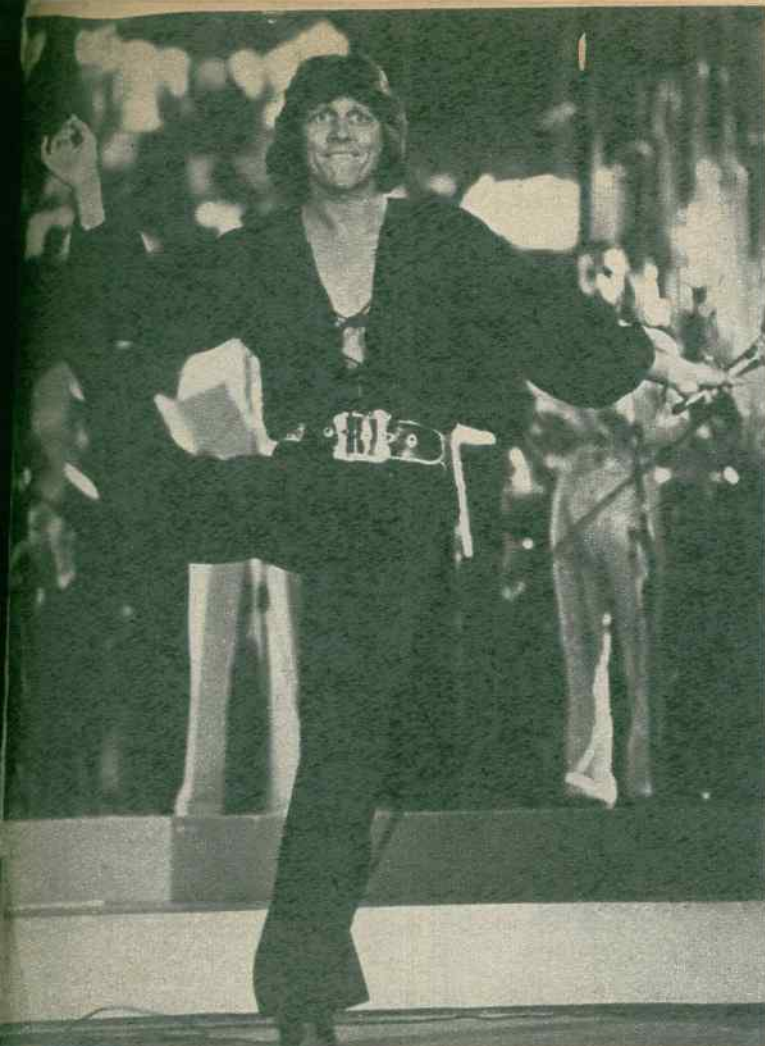
Po cóż wszakże byłoby organizować Festiwal Interwizji, jeśli miałby on niczym nie różnić się od konkursu Eurowizji?

DZIEŃ DRUGI

Dzień drugi ma bardzo wysokie ambicje. Zespoły 4 PS z Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Tonika z Bułgarii, złożone z absolwentów konserwatoriów, reprezentują znakomity poziom muzyczny. Lidia Stanisławska z Polski, Vaclav Neckar z Czechosłowacji i Alla Pugaczowa ze Związku Radzieckiego — wznoszą się na wyżyny ak-

Grand Prix Interwizji
— ALLA PUGACZOWA (ZSRR)





VACLAV NECKAR



Grand Prix du Disque DREAM EXPRESS (Belgia)



MAGGIE RYDER



LIDIA STANISŁAWSKA

ny na Zachodzie jako „numer 1 polskiej piosenki”, nie mają najlepszego dnia. Randolph Rose, reprezentujący wytwornię Hansa International (Boney M., Eruption) oraz grupa EMI z Londynu — Domino, to przedstawiciele klasycznego nurtu festiwalowego (muzyka lekka, łatwa i przyjemna), natomiast Rory Block z amerykańskiej filii Chrysalisu i Japonka Yoshiko Kimura z RCA Victor lepiej czułyby się w towarzystwie bohaterów wczorajszego wieczoru.

Jak gdyby dla podkreślenia bardziej beztraskiego charakteru trzeciego dnia festiwalu — na jego zakończenie otrzymujemy w prezencie mini-show Andrzeja Rosiewicza. Populary „Zenek”, który onegdaj wyszedł na sopocką scenę z miotłą w ręku, tym razem spada prosto z sufitu, a ściślej spod kopuły pomarańczowego namiotu, chroniące-

go widownię Opery Leśnej przed kaprysmi bardziej niż kiedykolwiek chimerycznej tego roku aury.

Reżyserem programu Rosiewicza, podobnie jak całego festiwalu, jest Jerzy Gruza. Rosiewicz uwolniony od konieczności osobistego wymyślenia swoich gagów, wydaje się lekki, świeży i zabawny, jak za swoich najlepszych czasów (stąd wniosek: czasami lepiej przetrząść część roboty na barki innych, niż robić wszystko samemu). Nazwisko Gruzy figuruje również w zapowiedziach piątego, nie transmitowanego już przez telewizję dnia festiwalu, w którym scenę Opery Leśnej podzielili się mają Rosiewicz i SBB.

Telewizowie mogą wszakże powściągnąć przedczesne pretensje do organizatorów, jako że koncert SBB w reżyserii Jerzego Gruzy będzie jedynie powtórzeniem „na żywo” programu telewizyjnego pt.

„Follow my dream”, który odniósł wielki sukces na niedawnym Festiwalu w Knokke. Oczywiście, program ten — podobnie jak filmy nagrodzone na II Przeglądzie Programów Muzycznych i Rozrywkowych Interwizji w Gdańsku — telewizja nasza zaprezentuje wkrótce na sedynowym ekranie.

DZIEŃ CZWARTY

Wszystkie proporcje powracają do normy i zdają się być prawidłowo wymieszane w ostatnim dniu festiwalu, podczas koncertu laureatów. W werdykcie jury ukłon w kierunku znakomitej piosenki aktorskiej — Grand Prix Interwizji dla Alty Pugaczowej i I nagroda dla Vaclava Neckara oraz zadośćuczynienie dla zwolenników przebojowej muzyki pop — Grand Prix du Disque i Nagroda Publiczności dla belgijskiego zespołu Dream Express. Zbigniew Wodecki, obdarzony premią akredytowanych w Sopocie dziennikarzy, ze smętkiem w oczach spogląda, jak piękny jacht „Navimoru” odpływa w kierunku Ostendy, gdzie jego wartość wzrasta natychmiast do 10 tysięcy dolarów.

Znakomicie spisująca się podczas całego festiwalu orkiestra pod dyktando Zbigniewa Górnego zmuszona jest na koniec do wyjątkowej ekwilibrystyki muzycznej (tak samo zresztą, jak orkiestra pod batutą Zahradnika i festiwalowy chór GEM). Lidia Stanisławska śpiewa pięknie, lecz trudną piosenkę W. Żukowskiej i J. Emira „Gwiazdy nad tobą”, w stylu dobrze świadczącym o ewolucji jej talentów aktorskich i muzycznych.

Jednakże dopiero Vaclav Neckar rozpała publiczność, wnosząc do koncertu galowego echa żakowskich juvenaliów: zmuszony przez publiczność do bisowania piosenki J. Brabeca i M. Prostejovky „Ten chleb je tvuj i muj” wykonuje — ku osłupieniu dyrygenta i zespołu GEM — a capella ludową piosenkę „Dziewczyna jak róża”. Aura happeningu narasta po występie laureatki Grand

Prix Interwizji, Alty Pugaczowej, która w ślad za nagrodzoną balladą „Wszystko mogut koroli” Ryczkowa i Derbieniewa śpiewa bez towarzyszenia chóru i orkiestry starą rosyjską pieśń ludową.

„Ten festiwal ma charakter!” — woła wiceprezes FIDOF, międzynarodowej federacji organizatorów festiwalu, pan Takis Kambas z Grecji i po chwili wędruje na scenę, by wręczyć Grand Prix du Disque grupie belgijskiej. Jacka Bromskiego nie ma już za konsolą, więc wszyscy uczestniczą w tym, co dzieje się na estradzie.

Po „Just wanna dance with you” i po przerwie, Opera szykuje się na ostatnie spotkanie z gwiazdami, występującymi poza konkursem: Lwem Leszczenką, Ireną Jarocką, Drupim... Ten ostatni zajmuje miejsce Bromskiego pośrodku amfiteatru, bosso, lecz frontem do widowni i śpiewa przy niebywałym aplauzie swoje największe przeboje. Hiszpan Juan Erasmo Machi, niedostrzeżony przez jury w Sopocie, mówi do mnie: „I pomyśleć, że jego największy szlagier: Vado Via nie został dopuszczony do konkursu przez komisję artystyczną Festiwalu w San Remo...” Istotnie, tak było w 1973 roku, a w rok później II Presidente tegoż samego festiwalu w liście odręcznym prosił eks-piekarczyka z Pavii o uświetnienie swoim występem koncertu w Pałacu Festiwalowym.

Noc w Operze zbliża się ku końcowi. Roztańczony spektakl ambasadorów „czarnej muzyki” — amerykańskiego zespołu The Temptations kończy czterodniową interwizyjną w Sopocie. Przeciskając się w tłumie martwie się tylko o to, by nie posiać gdzieś napęczniałego od nazwisk i tytułów nolesu... Bo z wszystkich przebojów w głowie pozostał mi tylko tytuł jednego. Zaraz, zaraz... jak mu było? „Ten festiwal je tvuj i muj”...

Do druku podał:
ZYGMENT KISZAKIEWICZ

Zdjęcia: JÓZEF WRÓBEL

Co się zdarzyło dinozaurom?

Dinozaury nie miały dobrej prasy jak na przykład delfiny, nigdy też nie budziły powszechnego zainteresowania jak choćby legendarny wąż morski. Miarą niepopularności tych zwierząt może być „stary dinozaur” – epitet, którym określamy osobników upartych, ociężałych i co tu ukrywać – bezmyślnych. Nawet większość paleontologów po euforii pierwszych wielkich odkryć, mniej więcej sto lat temu, straciła zainteresowanie dla dinozaurów. Ukształtował się pogląd, że jakkolwiek zwierzęta te panowały nad ziemią przez około 140 milionów lat, były po prostu ewolucyjną „nowinką” nie wartą rozległych badań naukowych.

Wiemy więc, że spośród około 1000 gatunków dinozaurów kilka było wielkości gołębia, zaś największe osiągnęły rozmiary wieloryba. Najlicniejszą grupę dinozaurów stanowili roślinożercy, choć zdarzały się i takie gatunki, które nie gardziły mięsem pobratymców i innych ssakopodobnych gadów. Większość mieszkała na lądzie. Tylko nieliczne wzbijały się w powietrze.

I to już prawie wszystko co wiemy o dinozaurach. Bo też niewiele po nich zostało. Tu i ówdzie pojedyncze kości, odciski łap, z rzadka — jaja sprzed milionów lat.

Ostatnio jednak

Nowe hipotezy

wysuwane przez grupę paleontologów wywołały falę zainteresowania i dyskusji w amerykańskich kołach

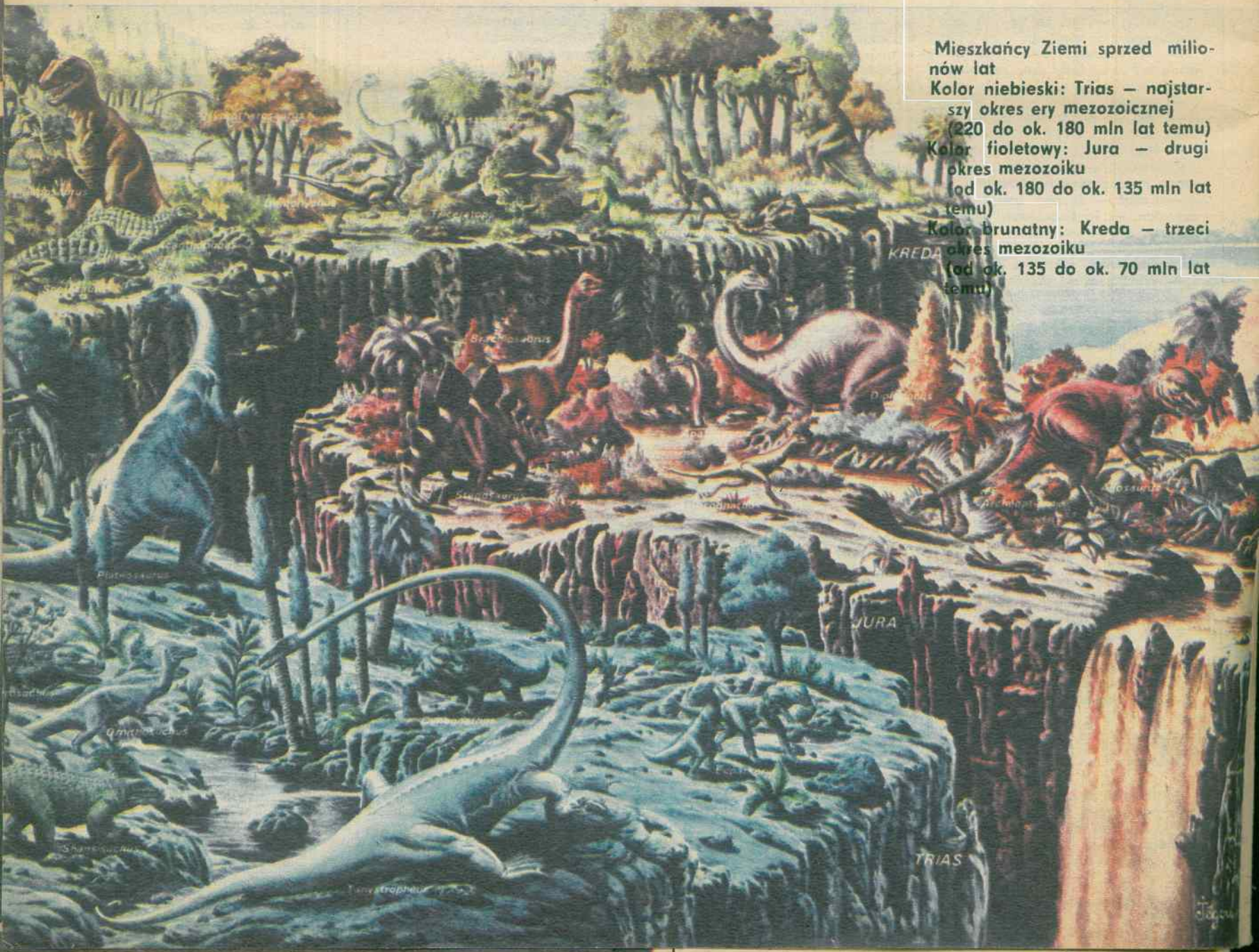
naukowych. Pytanie: dlaczego wymarły i to tak nagle 65 milionów lat temu? — znów stała na porządku dziennym.

— To klucz do sprawy — mówi Robert Bakker, paleobiolog z Uniwersytetu Johna Hopkinsa. — Dotychczas uważano, że dinozaury, jak wszystkie gady, także i współczesne węże i jaszczurki, były zimnokrwiste i zależne od temperatury otoczenia. Zimnokrwistość zaś oznacza niski metabolizm, tak więc dinozaury miały być ociężałymi, powolnymi bestiami, niezdolnymi do trwałej aktywności fizycznej. Otóż nie — twierdzi Bakker. — Przeciwnie! Były bardzo ruchliwymi zwierzętami i posiadały wewnętrzne systemy (podobne do tych, jakie posiadają ssaki), które utrzymywały wysoką i stałą temperaturę w ich organizmach.

Na dowód tego zwolennicy Bakker przytaczają wiele dowodów. Badania odcisków łap dinozaurów pozwoliły ustalić, że gady te często stawały (a nawet chodziły) na dwóch łapach. — Zwierzęta, które przybierają postawę pionową — dowodzi geolog John Ostrom — są prawie zawsze ciepłokrwiste. Następnym argumentem jest jądłospis dinozaurów. Wiadomo, że zwierzęta ciepłokrwiste muszą jeść znacznie więcej. Taka np. łasica — dwadzieścia razy tyle, co jaszczurka tej samej wielkości. Ostrom twierdzi, że zęby dinozaurów świadczą o kolosalnym apetycie...

— A niedawne odkrycia w kanadyjskiej prowincji Alberta — popiera go Bakker — mówią jak miłośzerne były dinozaury.

Zdjęcia: ARC



Mieszkańcy Ziemi sprzed milionów lat

Kolor niebieski: Trias — najstarszy okres ery mezozoicznej

(220 do ok. 180 mln lat temu)

Kolor fioletowy: Jura — drugi okres mezozoiku

(od ok. 180 do ok. 135 mln lat temu)

Kolor brązowy: Kreda — trzeci okres mezozoiku

(od ok. 135 do ok. 70 mln lat temu)

Też o ciepłokrwistości wspiera i fizjologia. Pompowanie krwi na wysokość 18 stóp (tej długości szyję miał Barosaurus) wymagało znacznie wyższego ciśnienia niż to, które występuje u jakichkolwiek znanych zmiennościelnych. No i

Sprawa Archaeopteryxa

John Ostrom uważa, że ten dinozaur wielkości gołębia jest przodkiem dzisiejszych ciepłokrwistych ptaków. Archaeopteryx miał pióra bardzo podobne do piór współczesnych ptaków. Stanowiły one ochronę przed zimnem i przed nadmiernym nagraniem. — To właśnie upoważnia nas do wniosku, że był zwierzęciem ciepłokrwistym — dowodzi Ostrom.

A co mówią oponenty?

Twierdzą, że argument postawy pionowej dinozaurów jest mało przekonujący. Bo nawet krokodyle i jaszczurki stoją czasami na tylnych łapach. Co się zaś tyczy temperatury ciała dinozaurów — należy wziąć pod uwagę ich olbrzymią — w stosunku do powierzchni skóry — masę. Ta właśnie masa działała jak wielki rezerwuuar nagromadzonego ciepła i pozwalała zwierzętom przez dłuższy czas utrzymywać wysoką i stałą temperaturę.

— To że Archaeopteryx rozwinął się z wczesnych dinozaurów wcale nie oznacza, że jego przodkowie musieli być ciepłokrwisci — oponuje Edwin Colbert. — Może ciepłokrwistość powstała, jako nowa ewolucyjna cecha, dopiero podczas przemiany gada w ptaka?

Czy w ogóle ptaki pochodzą wprost od Archaeopteryxa? W ubiegłym roku paleontolog James Jensen znalazł w liczących około 140 milionów lat skałach osadowych Kolorado coś, co może być kością udową ptaka. A jeśli tak to ptaki i dinozaury były już wtedy zupełnie odrębnymi gatunkami. — Archaeopteryx to ciągle jeszcze mały opierzony gad lądowy, podczas gdy ptak z Kolorado był doskonałym lotnikiem — mówi Jensen.

Największą zagadką dinozaurów

pozostaje ich nagłe zniknięcie z powierzchni naszej planety 65 milionów lat temu. Powstaje bowiem pytanie: dlaczego to, co spowodowało zagładę tych gadów nie zaszkodziło innym zwierzętom Ziemi?

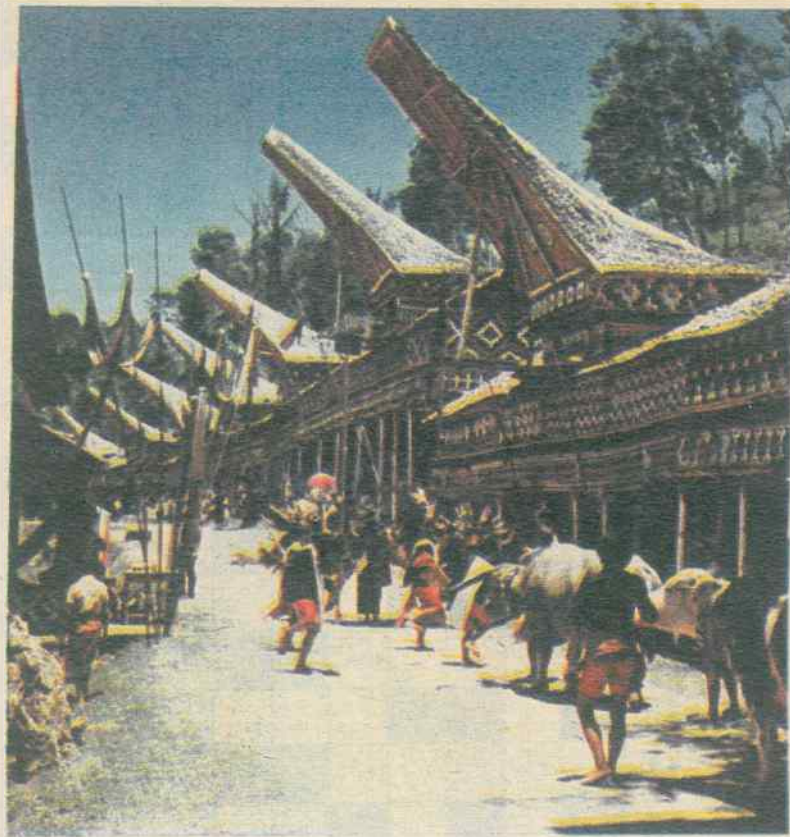
Niektórzy naukowcy snują takie oto spekulacje: olbrzymia eksplozja gwiazdy supernowej w pobliżu systemu słonecznego wywołała zmianę klimatu i uszkodziła ozonową „płaszcz” atmosfery ziemskiej. Wskutek tego powierzchnia naszej planety poddana została wzmocnieniu promieniowania ultrafioletowemu, które ma tę właściwość, że zabija selektywnie. Większe zwierzęta są bardziej wrażliwe na promieniowanie. Ssaki nie wyginęły, ponieważ wielkich ssaków wtedy jeszcze nie było.

Hipoteza ta, jakkolwiek interesująca, jest mało prawdopodobna.

Część naukowców, popiera mniej błyskotliwą, lecz na mocniejszych podstawach opartą teorię ruchów tektonicznych skorupy ziemskiej. Wędrowni kontynentów i wypiętrzanie się masywów górskich w dawnych epokach geologicznych wywoływały ogromne zmiany klimatyczne i mogłyby mieć związek z zagładą dinozaurów.

Zadna z przedstawionych tu teorii nie wyjaśnia w pełni zagadki wyginięcia dinozaurów, nie daje też prawdziwego obrazu tych zwierząt. Ale może w przyszłości? Bo dyskusje i spory trwają.

Oprac. B.K.



Zdjęcia: „Hobby”

Trawa jak stal

W CZESNY RANEK WE WSI POD DZAKARTĄ, STOLICĄ INDONEZJI. Suliman Surabaya podnosi się ze swojej — uplecionej z bambusa i liści — maty. Bambusowa siatka przed oknem chroni go podczas ubierania się przed ciekawymi spojrzami sąsiadów. Podnosi bambusową zastawę i myje się w strumieniu wody wypływającym z bambusowego wodociągu, którego ujście znajduje się przy domu. Jeszcze rzut oka pod umieszczoną na bambusowych słupkach (uniemożliwiają dostęp wężom i robactwu), też wykonaną z bambusowych deseczek podłogę, gdzie żyją psy i inne zwierzęta domowe. I wędruje Suliman do miasta w poszukiwaniu pracy. Dziś ma szczęście — może pracować przy budowie wysokościowca z żelazobetonu, może wejść na bambusowe rusztowania.

Gdy wieczorem wraca do domu, żona czeka już z kolacją, przygotowaną w bambusowych naczyniach. Przed pójściem spać — jeszcze odpoczynek we własnych czterech ścianach, których bambusowa plecionka zdobiona jest bogatymi ornamentami. A potem układają się do snu pod dachem z bambusowych gontów.

To oczywiście fikcja. Ale materiał, z którym na każdym kroku styka się fikcyjny bohater jest rzeczywistością. Jest rzeczywistością tak dalece, że w ojczyźnie Sulimana pełni rolę stali i drewna — i to od wieków.

OD WIEKÓW BAMBUS BUDZI ZAINTERESOWANIE MNOGIĄ ZASTOSOWAN. Przed wielu laty chiński naukowiec próbował je policzyć — uzyskał 1386 możliwości wykorzystania bambusa. Dziś jest ich chyba więcej. W Indo-

nezji 35 procent domów wykonanych jest z bambusa, dalsze 35 procent z bambusa łączonego z drewnem. Na Filipinach 90 procent budowli wznosi się z „cudownej trawy”.

Architektów i inżynierów fascynują własności bambusa: optymalny stosunek ciężaru właściwego i obciążenia użytkowego, wytrzymałość i elastyczność. Posiada on poza tym zalety szczególnie cenne w krajach o słabo rozwiniętym transporcie i przemyśle. Jest łatwy do uzyskania, bowiem przynajmniej w Azji, występuje wszędzie. Ale także na innych kontynentach (z wyjątkiem Europy) olbrzymie pędy rosną szybko i są wydajniejsze niż drewno.

Niekłopotliwa jest ich obróbka. Dokonuje się jej przy użyciu najprostszyc narzędzi, często po prostu ręcznie. Praca nie zajmuje zbyt wiele czasu, nie pochłania kosztów, odpady są minimalne.

NIEWIELE JEST DOPRAWDY SŁABYCH PUNKTÓW W BAMBUSIE. Tyle, że nie można go stosować tam, gdzie potrzebne są duże masy, czy ciężkie konstrukcje.

Tak liczne zalety bambusa skłaniały, rzecz jasna, inżynierów do prób dalszych, często fantastycznych jego zastosowań. Usiłovali tego dokonać konstruktorzy samolotów. Podczas II wojny światowej Japończycy wykonali z bambusa samolotowe śmigło. W latach 50. na Filipinach latał samolot, którego kadłub skonstruowany został z bambusowych rur.

Bambus stosowany jest nie tylko jako materiał budowlany czy konstrukcyjny. Jest popularnym w Azji artykułem spożywczym. W samej Japonii zbiera się go rocznie 80 tys. ton.

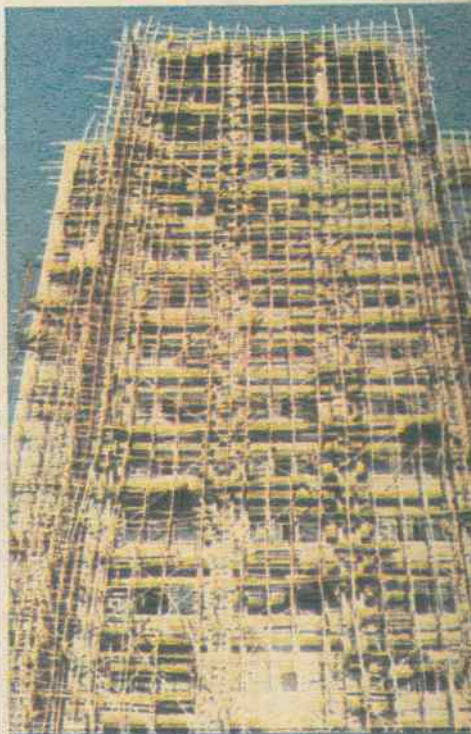
Zaspokaja nie tylko potrzeby materialne, ale i niejako duchowe: dawnymi czasy w Chinach służyły do pisania bambusowe tabliczki, na Jawie i Sumatrze są one do dziś w użyciu. Wyrzeźbione i powleczone sadzą napisy ostają się nawet przed tropikalną ulewą. Sądzi się, że właśnie bambusowi, a konkretnie kształtowi długich, wąskich tabliczek zawdzięczają Japończycy i Chińczycy kierunek swojego pisma — od góry do dołu.

Zgodnie z postępek — tabliczki wypart papier. Ale i tu włókna bambusa znajdują zastosowanie. Roczna produkcja celulozy w azjatyckich i południowoamerykańskich fabrykach papieru wynosi już 900 tys. ton. Wytwarza się z bambusa ponad 90 odmian papieru.

Możliwe są i inne zastosowania. W roku 552 n.e. w bambusowej rurze mnisi przemycili z Chin do Konstantynopola jajeczka jedwabników: tak przypieczętowano los słynnej „drogi jedwabnej”. W roku 1880 dwa oddziały pruskiej konnicy wyposażono w bambusowe lance. A w żarówce Edisona również znalazło się zwęglone włókno bambusa.

TA NIEZWYKŁA ROŚLINA ŁĄCZY W SOBIE WŁASNOŚCI DREWNA I TRAWY.

Rośnie w pędach wysokości 40 m o średnicy 30 cm. Rozczłonkowana jest — podobnie jak trawy — na



odcinki długości przeciętnie 35 cm, ale i półtora metra się zdarza.

Do drewna upodabnia go zmagazynowanie celulozy w strukturze komórek. Swoją niezwykłą wytrzymałość zawdzięcza zrogowaciałej ostonie.

I jeszcze jedna niezwykła właściwość bambusa: tak szybko nie rośnie żadna lądowa roślina. Większość 320 azjatyckich, 180 południowoamerykańskich, 14 afrykańskich i 30 gatunków bambusa z Madagaskaru swoją wysokość 40 m osiąga w ciągu 60 dni (czyli 60 cm dziennie). Niektóre odmiany rosną z szybkością 120 cm dziennie.

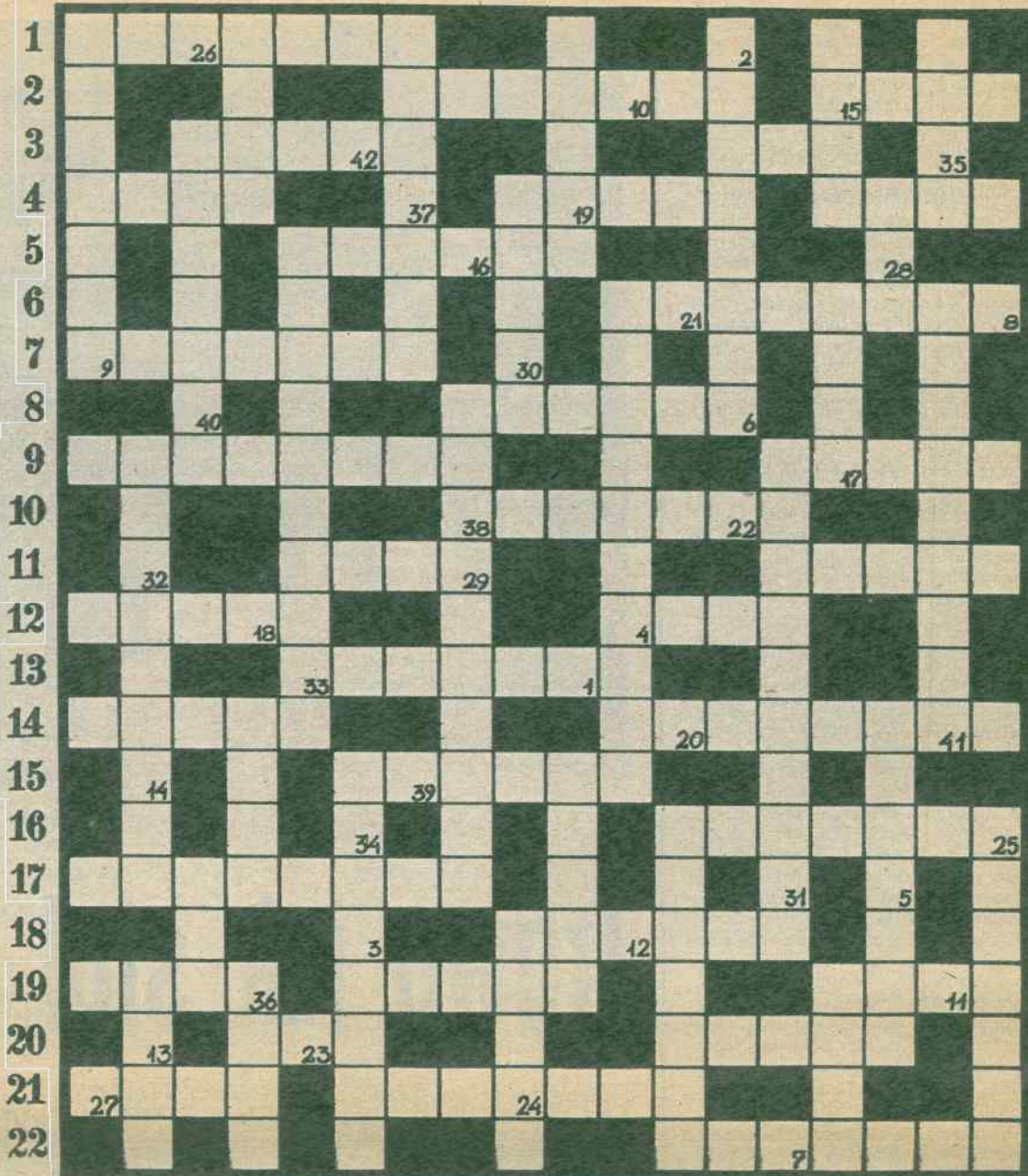
Ta właściwość ma jednak i posmak makabryczny. W Indiach wykonywano egzekucje, kładąc skazanych na młodych pędach bambusa, które rosnąc, przebijały ciało ofiary na wylot. Podobnie wyglądała słynna „tortura bambusowa”.

Oprac. E.J.

KRZYŻÓWKA (37)

POZIOMO: 1 — dba o nasze głowy • 2 — marcowy sąsiad Teodora • rzeka na Pojezierzu Kaszubskim i Wybrzeżu Słowińskim • 3 — nieziszczalne marzenie, złudzenie • dusiciel • 4 — trapi i napędza zwierzyń • główny port morski Włoch • cenne żelastwo • 5 — na jego czele minister • 6 — na ulicy walczącego miasta • 7 — róża wodna • 8 — gwiazdne przestrzenie • 9 — dzieło naukowca • nieliteracki język polski • 10 — boginka wodna • 11 — najgęściej zaludnione góry na Ziemi • republika związkowa w ZSRR • 12 — przypomina o niezapłaconym rachunku • był figurą w Wenecji (VII — XVIII w.) • 13 — harmonijka ustna • 14 — kalendarzowy sąsiad sąsiada Gawła • esencja, odwar • 15 — karciany oszust • 16 — wlecz się za oddziałem • 17 — Karol rodzaju żeńskiego • 18 — miasto obwodowe w Ukrainie • 19 — las roślin, krzewów, zarośli itp. • płynie przez Weronę • roślina dobra na olej • 20 — pierwiastek chemiczny z rodziny skandowców • bohater opery K. Szymanowskiego • 21 — pociecha Noego • podstawowy element budowy żywych organizmów • 22 — leży u ujścia rzeki Tag do Atlantyku •

PIONOWO: 1 — osobliwość • 2 — majątek odziedziczony po ojcu • organ z bębniem • 3 — ukręcony z oliwy i żółtek • cecha charakterystyczna lub szkie • 4 — zbój, opryszek • muzyczne 1+1+1 • rozpocznie się w grudniu • 5 — ulepsza i poprawia • 6 — na kuchenne zapasy • 7 — szel spektaklu • 8 — rysunek uwypatwiający charakterystyczne cechy postaci • 9 — winne lub znajomych • „wytwórnia” witamin • 10 — tkanina na wyspy • protektorat, przewodnictwo • 11 — więcej niż kanonier • 12 — wieje z północy na płd.-wsch. obszarze Francji • 13 — duży ptak oceaniczny • 14 — wyszukana grzeczność • 15 — jest twardy i zimny • osocze z erytrocytami, leukocytami i trombocytami • jeden z wielu w Belgradzie • 16 — kręci się w oku • sędzia w mundurze • 17 — nad nim Saragossa • jugosłowiański port nad Adriatykiem • 18 — sprawozdanie, opowiadanie •



★ ★ ★

Rozwiązanie krzyżówki polega na odgadnięciu hasła, na które składają się litery oznaczone liczbami umieszczonymi w prawym dolnym rogu niektórych kratek. W nadesłanym rozwiązaniu należy podać od-

szlifowany tekst hasła bez wyrazów krzyżówki.

Hasło prosimy nadsyłać w terminie trzytygodniowym od daty numeru pod adresem redakcji: 40-926 Katowice, skr. poczt. 335 z dopiskiem: Krzyżówka nr 37. Na zwycięz-

ców losowania czeka 10 nagród książkowych.

Prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 32 brzmi: DOBRA WOLA STOJ ZA UCZYNEK.

Nagrody książkowe otrzymują: J. Parcer, Katowice; R. Wróbel, Za-

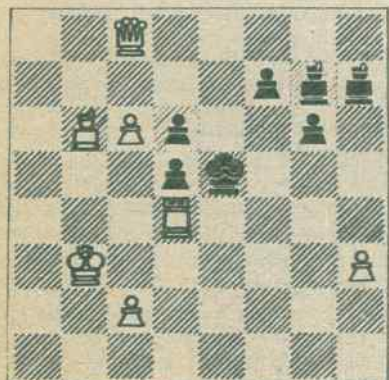
brze; M. Witkowska, Radom; K. Jeleń, Kielce; H. Skupień, Szczawna-Zdrój; S. Jachimowicz, Ostróda; I. Orczykowska, Gdańsk-Oliwa; H. Bobrycka, Bielsk Podlaski; A. Rumiński, Łódź; E. Koszowska, Stargard Szczeciński.

SZACHY

J. L. Lilja

(I—II nagr. „Ajan Sano” 1931 r.)

ZADANIE NR 37



Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w terminie trzytygodniowym od daty numeru pod adresem redakcji: 40-926 Katowice, skr. poczt. 335 (z dopiskiem SZACHY). Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe odpowiedzi rozlosujemy 4 nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ

Nr 30 (J. Konikowski, 2X) 1.Wd2! Ładna „miniaturka” z dobrze ukrytym, „tempowym” wstępem”.

Nr 31 (M. Grena, 2X) 1.Wc1! Dobrze umotywowany wstęp, ładnie parowane duple, szkoda jednak, że dla wyrażenia tej idei potrzeba było aż 12 (!) pionków...

Nr 32 (E. Visserman, 3X) 1.Gh5! gr. 2.Wd8+; 1... Wc:d4 2.Kf5; 1... Wd:d4 2.Ke6!; 1...Sb:d4 2.Ke4!; 1... Sc:d4 2.Kd5! Wymuszone groźbą zablokowania czarną figurą pola d4 i w 2 posunięciu — wykorzystanie „czarnego samozwężania” tej figury w 4 różnych analogicznych wariantach. Wspaniała realizacja trudnego tematu.

★ ★ ★

Jak wiadomo aktualna mistrzyni świata Nona Gaprindaszwili jest jedyną arcymistrzynią, która potrafiła wypełnić (w roku ubiegłym na turnieju w Lone Pine) po raz pierwszy męską I normę arcymistrzowską. Niedawno, na turnieju w Dortmundzie — była o włos od wypełnienia takiej normy po raz drugi i gdyby zdobyła 0,5 p. więcej (8 p. z 11 partii), gdyby wygrała w ostatniej

rundzie — mielibyśmy wreszcie pierwszą w dziejach szachów kobietę-arcymistrza (nie arcymistrzynię — tych jest dziś blisko 20). W XI, ostatniej rundzie Nona grała jednak z arcymistrzem Keenem (mającym również 7 p); wyprzedzając tę parę arcymistrz Andersson, mający 7,5 p. szybko w tej rundzie zremisował, godząc się w ten sposób na dzielenie I—II nagrody ze zwycięzcą pojedynku Keene — Gaprindaszwili, ale angielski arcymistrz... również wkrótce potem wymusił remis w partii z mistrzynią, machnął ręką na I nagrodę i wołał nie ryzykować, gdyż — jak później pisał — ewentualna porażka „mogłaby uniesmiertelnić jego imię w historii szachów”.

Mistrzyni świata arcymistrzem tym razem jeszcze nie została, ale swą — wcale już bogatą! — kolekcję arcymistrzowskich (męskich oczywiście) „skalpów” wzbogaciła jeszcze jednym, naprawdę bardzo cennym:

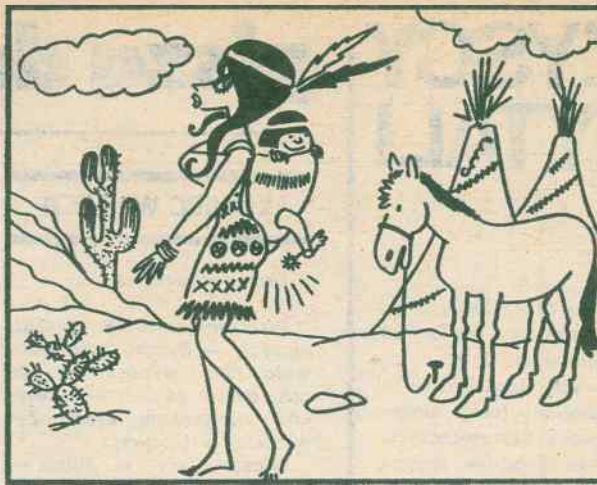
Obrona Caro — Kann
Gaprindaszwili — Andersson

1.e4 c6 2.d4 d5 3.Sc3 d:e4 4.S:e4 Sf6 5.S:f6+ e:6 6.Gc4 He7+ 7.He2 Ge6 8.G:e6 H:e6 9.Gf4 Sa6 10. c3

0-0-0 11.H:e6+ (tutaj Gaprindaszwili zaproponowała remis, ale arcymistrz szwedzki, mimo iż na pewno nie stał w tym momencie lepiej — odrzucił ofertę, licząc zapewne na swą słynną technikę końcówkową...) 11...f:e6 12.Se2 c5 13.Ge3 Gd6 14. 0-0-0 Whe8 15.Kc2 Gf8 16.Whe1 b6 17.d:c5 S:c5 18.W:d8+ K:d8 19. Sd4 a6 20.b4 Sd7 21.a4 e5 22.Sb3 Kc7 23.Wd1 f5 24.f3 We6 25.Sd2 Ge7 26.Sc4 g6 27.Kb3 Gf8 28.a5 b5 29.Sb6 Wd6 30.W:d6 G:d6 31.Sd5+ Kc6 32.c4 e4 33.f4 Sf8 34.c:b5+ i znajdujący się co prawda w niedoczasie, ale „umiarkowanym” Andersson, zamiast spokojnie odbić 34...K:b5 35.Sc3+ Kc6 36.Kc4 Se6 z najprawdopodobniej remisowym zakończeniem — zabrał figurę 34... K:d5? i po 35.b:a6 Se6 36.a7 Sc7 37.b5 musiał skapitulować, gdyż jeden z falangi białych pionków nieuchronnie awansuje. Warto dokładnie przeanalizować pozycję po 35.b:a6 i szukać ratunku dla czarnych, uprzedzamy jednak, że poszukiwania — okażą się bezskuteczne...

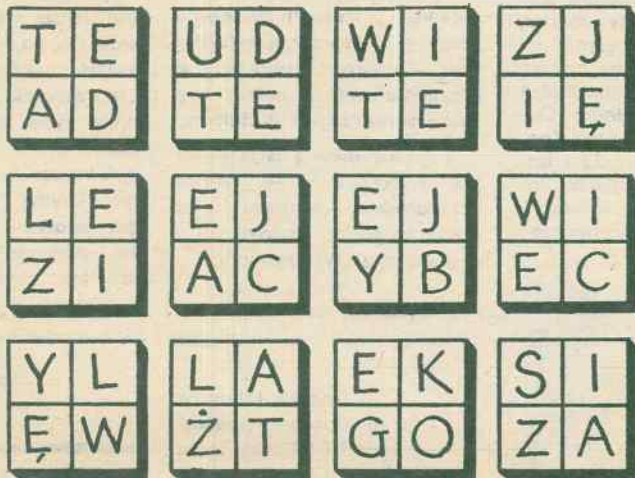
(Gies)

CZY JESTES SPOSTRZEGAWCZY?



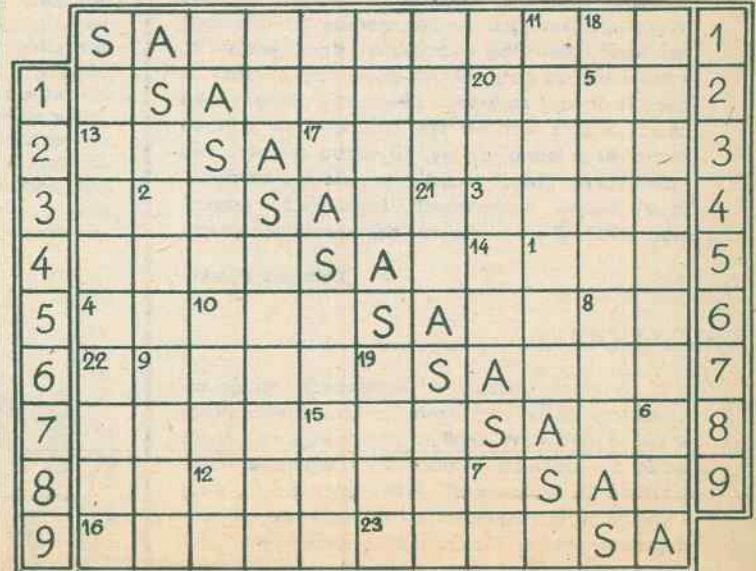
Przekonaj się sam. Proponujemy Ci aż 10 minut czasu na odszukanie siedmiu szczegółów występujących w obu obrazkach.

REDAGUJE:
WIESŁAW T.
ZIELIŃSKI



TAFELKI

Tafelki poprzestawiaj tak, aby litery znajdujące się w nich, czytane kolejno rzędami poziomymi utworzyły rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy, że cztery tafelki narożne znajdują się na właściwych miejscach.

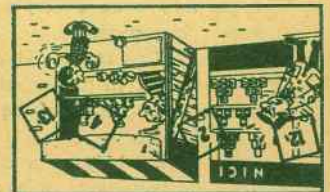


LOGOGRYF PODWOJNY

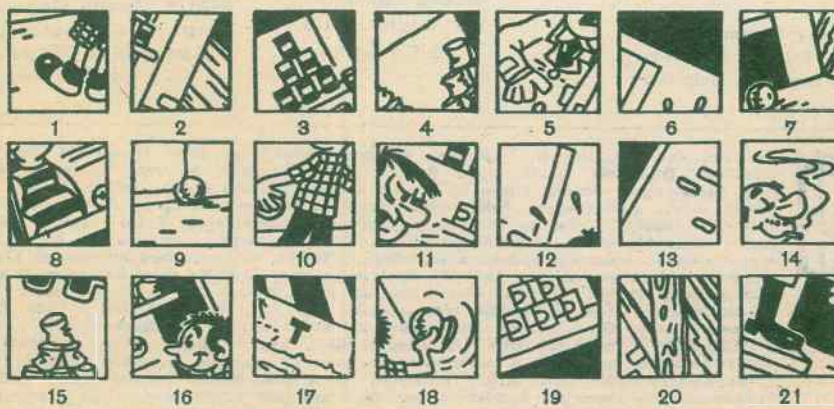
Wyrazy odgadnięte należy wpisać do figury od lewej ku prawej i od prawej ku lewej. Po dwie ostatnie litery wszystkich wyrazów są wpisane w diagram. Litery z pół oznaczonych liczbami uszeregowane w kolejności od 1 do 23 utworzą przysłowie.

ZNACZENIE WYRAZÓW (najpierw dla wyrazów wpisywanych od lewej ku prawej, a następnie dla kierunku odwrotnego): 1) żądł — wskazuje kąt między osią stalku, a kierunkiem radiostacji nadającej sygnały wywoławcze, 2) najdłuższy dopływ Dunaju — batagan, zamieszanie, 3) dawna nazwa internatu — skrzypce gigant, 4) kolizja aut — biała broń myśliwska, 5) u drzwi — rwa kulczowa, 6) zwolnienie od obowiązujących przepisów prawa kościelnego — domek z gałęzi, 7) niepokrywanie się obrazu tworzącego przez obiektyw fotoaparatu i obrazu tworzonego przez celownik — rezerwa, 8) rodzaj utworu dramatycznego — musujący napój z chleba, 9) pierwsza liga — znane linie lotnicze.

LOGOGRYF PODWOJNY: Cuda krzywda chyba nie da punkty i linie: Po przekreśleniu rysunku o 180 stopni, poszukiwana postać widoczna jest od góry w lewej połowie rysunku. RZUT PIŁKA. (rys.)



CZY JESTEŚ SPOSTRZEGAWCZY? 1) gwóźdź w ścianie i obok konia, 2) nożka soli i kosmyk włosów pod brodą Indianki, 3) pióro na stołku oraz we włosach Indianki, 4) zębokształt ozdobna na oparciu i grzywa nad konikim czołem, 5) czarny plyn w widocznej części głowy dziecka, 6) fragment trzędli przy dywanie i kreski na worku mieszczącym dziecko, 7) przekięcona o 180 stopni litera V nad gwóźdźkiem w ścianie oraz dwa patyki z lewej strony nad szczytem lewego namiotu. TAFELKI: Telewizja — dziecięce wieku. Dłatego też tyle się jej wybacz.



RZUT PIŁKA

Wśród rysunków w 21 kwadracikach, znajdują się cztery, będące fragmentami obrazka górnego. Które?

ROZWIĄZANIE ROZRZEK UMYSŁOWYCH:

NIE WSZYSCY PRZECZYTALI

LATO WIEJSKICH DZIECI

— Ze statystyki prowadzonej przez SKRy i resort rolnictwa wynika, że w tym roku około 200 tysięcy dzieci wiejskich w wieku od 3 do 7 lat znalazło miejsce w sezonowych dziecięcych w lipcu i sierpniu. Szczególny problem jest z małymi dziećmi, które trzeba dowozić do zbiorczych dziecięcych, co przysparza wiele kłopotów. A może by tak wprowadzić dla studentów szkół pedagogicznych praktyki polegające na opiece nad dziećmi w czasie żniw? Z wakacjami dla starszych dzieci też są problemy, głównie natury finansowej. Rodzice na wsi wakacje swoich dzieci muszą finansować sami, co stanowi poważne obciążenie domowego budżetu. Niemalże rolę odgrywa pokutująca do dziś mentalność negująca celowość i potrzebę wypoczynku dzieci wiejskich, które i tak są cały rok na powietrzu. Wczasy w mieście trwają za krótko (5—7 dni). W tym roku skorzystało z nich 90 tys. dzieci, czyli średnio około 40 z jednej gminy. Ta liczba nie wymaga komentarza. Dzieci wiejskie prawie nie korzystają z obozów wędrownych, żeglarskich, językowych, kolonii zdrowotnych czy rehabilitacyjnych.

„Dziennik Polski”

HELO-DOLARY

— W ciągu godziny w Odolanowie ulatuje do atmosfery 80 tys. m³ azotu, a wraz z nim około 4 tys. dolarów. W skali rocznej kwota ta urasta do 50 mln dolarów — pisał w „Przeglądzie Technicznym — Innowacje” Aleksander Sala. Azot i hel znajdują zastosowanie w przemyśle elektromaszynowym, w medycynie, w przemyśle chemicznym, przetwórczym, chłodnictwie. Złoża w Odolanowie są bardzo bogate w obydwa te składniki.

Sprawą „wylapania” azotu z odolanowskiego powietrza zajmują się pracownicy Instytutu Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN we Wrocławiu. W Poznaniu natomiast prace naukowe koncentrują się wokół skraplania, transportu i dystrybucji azotu z Odolanowa. Na konferencji naukowej, która odbyła się w Kaliszu wystąpiono z propozycją wybudowania do 1980 roku przynajmniej jednej nitki skraplania azotu oraz pierwszej w kraju dystrybutorii helu i azotu.

„Gazeta Południowa”

JESZCZE RAZ GOPŁO

W poprzednim numerze PANORAMY zacytowaliśmy fragment artykułu z „Kuriera Polskiego” o plamie na Goplu. Dziś inny cytat:

— W 1971 roku wody Gopla zaliczone zostały do pierwszej klasy czystości. To jest teoria. W praktyce wód pierwszej klasy w Goplu w ogóle nie ma. 80 proc. wód jeziora znalazło się w III klasie, reszta to po prostu ścieki. A dodajmy, że Kruszwica wraz z Goplem tworzy Nadgoplański Park Krajobrazowy, z unikalnymi pomnikami przyrody. Czy szansa, jaką stwarza Kruszwica rozwijający się tu przemysł musi tak radykalnie przekreślać drugą szansę jej rozwoju jaką stwarza turystyka?

Do Gopla wpływa w ciągu doby 24,5 tys. metrów sześciennych ścieków. Jezioro zatrzymują: Kujawskie Zakłady Przemysłu Tluszczonego, Kujawska Wytwórnia Win, Cukrownia Kruszwica. Zatrute są również kanały i rzeki wpadające do Gopla. Na dnie Gopla zalega 2-metrowa warstwa osadów gnilnych, a przeciętna głębokość jeziora wynosi 3,5 metra. Sanepid wydaje zakazy kąpielii. Żaden z wymienionych wyżej zakładów nie ma oczyszczalni ścieków. Oczyszczalnia dla Kruszwicy dopiero weszła do planu.

„Kujawy”

piszą do nas

KONIEC WAKACJI

Druga Redakcjo!

Przedsiębiorstwo Robót Górniczych — Bytom zorganizowało letni wypoczynek dla nas, dzieci swoich pracowników, na pięknej Ziemi Żywieckiej w Lipowej.

Mieszkaliśmy w Zbiorczej Szkole Gminnej. Okna naszego budynku udekorowaliśmy kolorowymi kwiatami i postaciami z bajek, żeby było wesoło i fajnie.

Podczas wielu pieszych i autokarowych wycieczek poznaliśmy uroczą Ziemię Żywiecką, jej bogaty folklor, przeszłość i teraźniejszość tej okolicy. Poznaliśmy pracę rolników ze Spółdzielni Kółek Rolniczych i Zakładu Doświadczalnego Instytutu Zootechniki. Uczyliśmy się i bawiliśmy podczas wspólnych imprez: „Jarmark Kolonijny”, „Festiwal Folklorystyczny”



pod hasłem „Hawana 78”, spotkania z aktorami teatrów katowickiego i warszawskiego, „Bał Przebierańców”, wieczór poświęcony pamięci Janusza Korczaka, Festiwal Piosenki Rodzimej, Olimpiada Wiedzy Sportowej, uroczysta akademicka z okazji urodzin Naszej Ojczyzny, wieczór poświęcony rocznicy zjednoczenia ruchu młodzieżowego i robotniczego, Festiwal Piosenki Żołnierskiej.

Mieliśmy wiele zajęć sportowych, podczas których przygotowujemy się do Kolonijnej Olimpiady Sportowej pod hasłem „Sztajeta Moskwa 80”. Nawiązaliśmy również ścisłą współpracę z obozem harcerskim Choraqwi Katowickiej.

Zegnając się z Lipową zabraliśmy dużo wspomnień o niezapomnianych urakach tej ziemi.

Uczestnicy kolonii letniej
Przedsiębiorstwa
Robót Górniczych w Bytomiu

KOŁOBRZEG, ŚLĄSK I WIERZYNEK

Szanowna Redakcjo!

Ja w sprawie PANORAMY nr 30 z dnia 23.VII.1978. Jestem zachwycona zdjęciem p. Jerzego Patana do artykułu Kołobrzeg 78 „Od zadumy do uśmiechu” — na pierwszym planie marynarz, górala, wojskowi — wspaniała aura festiwalu. To bardzo piękne zdjęcie powinno się znaleźć w salonie międzynarodowej fotografii. Zespółowi „Śląsk”, pięknie sfotografowanemu przez p. Stefanię Ciesielską i p. Antoniego Labryę, w otoczeniu zieleni należy się wiele serdecznych gratulacji.

A to już mówię o artykule „U Wierzyńka” — byłam oszalamiona i wzruszona. To odkrycie godne podziwu — i to jeszcze u „Wierzyńka”!

Z wyrazami szacunku

Wasza

Danuta Jelenova
(z zamłowania poetka)
737 01 Cesky Tesin
ul. Odboje nr 11
Czechosłowacja

BULKI NA PARZE

Druga „Panorama”!

Zwracam się z prośbą do autora redagującego rubrykę „coś dla podniebienia” o podanie przepisu na „bulki na parze”.

Danie to jadłam poprzednio kilkakrotnie i bardzo mi smakowało, ale niestety nie znam przepisu. Obecnie przebywam za granicą i chciałabym zademonstrować to polskie danie.

Ponieważ prenumeruję „Panoramę”, liczę na Waszą pomoc i będę cierpliwie oczekiwać odpowiedzi.

Prześłam pozdrowienia

Milana Komander
via Assarotti 38/8
16-122 Genova
Italia

Od redakcji:

Nie posiadamy takiego przepisu, ale mamy nadzieję, że przyjdą nam z pomocą Czytelnicy, którzy prześlą autorce listu wiele przepisów na tę smaczną potrawę.

COŻ PO TYTULE?

Już nieraz przychodziło mi na myśl napisać kilka słów do redakcji na ten temat. Zdecydowałam się dopiero teraz po przeczytaniu w „Panoramie” artykułu pt. „Cóż po tytule?”

W obecnych czasach tytuły bardzo się rozmnażają, ponieważ Polska jest krajem ludzi kształcących się. I gdy wreszcie człowiek zdobywa upragniony tytuł, to tym bardziej zobowiązuje go ten tytuł, aby był po prostu Człowiekiem, a nie Czymś Ważniejszym. I gdy spotyka innego człowieka, powinien traktować go tak, jak chciałby aby jego traktowano.

Genowefa Kalinowska
Gąsowo
09-470 Badzanów
woj. płockie

KORESPONDUJA PRZYJACIELE

Druga Redakcjo!

Jestem stałym i wiernym czytelnikiem „Panoramy”. Bardzo mnie interesuje Wasz piękny kraj. Interesuję się ludźmi, kulturą, muzyką (szczególnie młodzieżową) i obyczajami Ludowej Polski.

Bardzo pomoga mi poznać Polskę Wasze pismo. Ale chciałabym jeszcze nawiązać bezpośrednią korespondencję i zaprzyjaźnić się bliżej z kolegami i koleżankami z Polski. Dlatego zwracam się do Was z prośbą o opublikowanie mojego adresu. Mam 19 lat. W tym roku zaczęłam średnią szkołę. Interesuję się filmem, muzyką współczesną, sama uczę się języka polskiego.

Serdecznie pozdrawiam
cały zespół redakcyjny

3639 с. Долно Церовете
окр. Михайловградски
Красимира Мирнова
НР България

Pano
rama

Redaktor naczelny: Jan W. Gadomski. Kolegium redakcyjne: Jacek Cieszkowski, Stanisław Gadomski (kierownik działu foto), Barbara Korzon, Janusz Kuźniarski (zastępca redaktora naczelnego), Janusz Litwin (kierownik działu zagranicznego), Ernest Marak (kierownik działu graficznego), Feliks Netz (zastępca red. naczelnego), Danuta Sobolowa (sekretarz redakcji), Wiesław Wilczek (zastępca red. naczelnego). Adres redakcji: „Panorama”, ulica Młyńska 1, 40-098 Katowice, telefon 031-32-12, skrytka pocztowa 335, 40-928 Katowice. Telefony: sekretariat redaktora naczelnego 53-85-95, 3-cy redaktora naczelnego 53-85-74 i 53-89-49, sekretariat redakcji 53-71-87; dział zagraniczny 53-89-30; dział kulturalny 53-91-96; fotoreporterzy 53-91-86. Oddział warszawski: ul. Pyłosinińskiego 17, 00-777 Warszawa, telefon 813-440, telefon: 41-80-83. Dyrektor Wydawnictwa: mgr Karol Szarowski, tel. 53-78-26. Druk: Prasa-Zakłady Graficzne, ul. Liebknechta 22, 40-083 Katowice. Kolporter: RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki, ulica Dąbrówki 13, 40-081 Katowice. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej wynosi 312 zł. Prenumeratę ze zniżką wysyła się za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa RSW „Prasa-Książka-Ruch” 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto PKO nr 1531-71. Numer indeksu 36856. Redakcja nie odpowiada za dzieła ogłoszeń oraz nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zam. 3243/78

W-8

RADIO POLECA:

11. IX
godz. 20.15
pr. 4
„WIENER FESTWOCHEN — 78” — retransmisja koncertu z dnia 15. VI. br. Wykonawcy: Gerhard Oppitz i Paul Badura-Skoda — pianiści, orkiestra Wiener Philharmoniker, dyryguje Horst Stein. W programie utwory: Schuberta, Beethovena, Mozarta. Wersja stereofoniczna.
12. IX
godz. 17.20
pr. 2
„LISTY POETY CZYLI RZECZ O JÓZEFIE CZECHOWICZU” (audycja w rocznicę śmierci poety) — magazyn w opracowaniu Marii Brzezińskiej.
13. IX
godz. 17.20
pr. 2
TEATR PR: 1) „PRZY DRODZE” — słuchowisko Marii Jankowskiej, reż. Jana Zelnika — 2) „WIZJA I FONIA” — słuchowisko Janiny Wiczorkowskiej, reż. Zdzisława Dąbrowskiego.
14. IX
godz. 21.00
pr. 4
Bela Bartók „CUDOWNY MANDARYN” — balet — pantomima w 1 akcie op. 19 do libretta Menyherta Lengyela. Wykonawcy — Chór Państwowej Opery Węgierskiej oraz Budapeszteńska Orkiestra Filharmoniczna pod dykcją Janosa Sandora.
15. IX
godz. 19.30
pr. 2
XII Międzynarodowy Festiwal Oratoryjno-Kantatowy „WRATISLAVIA CANTANS”. Odtworzenie koncertu inauguracyjnego. Komentarz Hanna Pisarenko.
16. IX
godz. 9.30
pr. 2
TEATR PR: „HAPPENING” — słuchowisko Franciszka Sikarskiego, reżyseria Wojciecha Maciejewskiego.
16. IX
godz. 20.30
pr. 4
XII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „WARSZAWSKA JESIEŃ”. W programie m. in. „DE NATURA SONORIS 1” — Krzysztofa Pendereckiego i Witolda Lutosławskiego, „LES ESPACES DE SOMMEIL” („Przestrzenie snu”) — wg Roberta Desnesa — pierwsze wykonanie w Polsce. Transmisja koncertu z Filharmonii Narodowej w Warszawie.
17. IX
godz. 13.00
pr. 2
TEATR PR: „ZIELE NA KRATERZE” — słuchowisko wg książki Melchiora Wańkowskiego, adaptacja Marii Komorowskiej, reżyseria Helmuta Kajzara.
17. IX
godz. 19.00
pr. 2
RECITAL MIREILLE MATHIEU.



MELCHIOR
WAŃKIEWICZ



MIREILLE
MATHIEU

TELEWIZJA POLECA:

11. IX
godz. 20.30
pr. 1
TEATR TELEWIZJI: Mikołaj Gogol „GRACZE”, reż. Stanisław Bieliński, wyk. Bronisław Pawlik, Kazimierz Kaczor, Gustaw Lutkiewicz, Kazimierz Wiśniarz i inni. Prezentacja wybitnej sztuki z repertuaru klasyki rosyjskiej.
12. IX
godz. 22.10
pr. 1
TEATR MAŁYCH FORM: „PABLO NERUDA — CHILE”. Na program złożą się poematy Pabla Nerudy oraz fragmenty filmów dokumentalnych ukazujących tragedię chilijską. Reż. Tadeusz Lis, wyk.: Andrzej Balcerzak, Jerzy Kryszak, Krystyna Stankiewicz, Piotr Różański.
13. IX
godz. 17.45
pr. 1
STUDIO SPORT: Transmisja z 1 rundy Pucharu Zdobywców Pucharów ZAGŁĘBIE SOSNOWIEC — SWAROWSKI WACKER AUSTRIA.
13. IX
godz. 21.35
pr. 1
STUDIO SPORT: Transmisja z 1 rundy Pucharu Europy w piłce nożnej.
14. IX
godz. 18.20
pr. 1
SONDA: „Komunikacja — łączność”. Prezentacja najnowszych osiągnięć w dziedzinie łączności, możliwości przekazywania informacji różnymi kanałami komunikacyjnymi.
15. IX
godz. 21.25
pr. 1
STUDIO TEATRALNE: Jan Potocki „PARADY”, reż. Krzysztof Zaleski, wyk.: Piotr Franczewski, Ewa Dałkowska, Marek Kondrat, Grzegorz Wons oraz studenci PWST.
16. IX
godz. 16.45
pr. 1
FILM LATARNI CZARNOKSIĘSKIEJ: „OSTATNI BRZEŃ” — film fab. prod. USA. Reż. Stanley Kramer, wyk.: Gregory Peck, Ava Gardner, Fred Astaire, Anthony Perkins i inni. Jedno z najwybitniejszych antywojennych dzieł współczesnej sztuki filmowej.
17. IX
godz. 12.30
pr. 1
TYLKO W NIEDZIELĘ — blok programowy.
17. IX
godz. 18.00
pr. 2
STEREO I W KOLORZE: „KWARTET MISTRZÓW”. Wystąpią: Konstanty Andrzej Kulka, Stefan Kamasa, Roman Jabłoński, Jerzy Marchwiński.



PABLO
NERUDA



AVA
GARDNER

Przed kilku laty podziwialiśmy JADWIGĘ CHOJNACKĄ w „Chłopach” w roli (nagrodzonej przez Ministra Kultury i Sztuki) matki Jagny; przy tej okazji wspominając inne kreacje teatralno-filmowo-telewizyjne znakomitej aktorki, nie pomyśleliśmy, że sezon 1978/79 przyniesie jubileusz pięćdziesięciolecia jej pracy artystycznej! A więc to już pół wieku pracy w profesji pięknej, lecz przecież trudnej, wyczerpującej. Niewiele jest aktorek mających tak odpowiedzialny stosunek do zawodu; Jadwiga Chojnacka nigdy nie szuka tanich efektów, używa swego talentu w sposób tak naturalny, że — zdawać by się mogło — niedostrzegaliśmy.

Ten perfekcjonizm zawodowy zaszczerpił Jadwidze Chojnackiej jej pierwszy teatr — „Reduta”, a rozwijały go kolejne przedwojenne sceny, z którymi była związana. I ten perfekcjonizm upoważnił aktorkę do objęcia — po wojnie — dyrektury Teatru Powszechnego w Łodzi, jak i pracy pedagogicznej w Państwowej Wyższej Szkole Teatralno-Filmowej, gdzie wyklada grę aktorską.

— Repertuar Teatru Powszechnego w okresie pani dyrektorowania obejmował w 90 proc. komedie?!

— Tak się dziwnie składa, że dyrektorzy teatrów przeważnie bronią się przed komedią... jakby nie wiedzieli, że publiczność przepada za tym gatunkiem i że aktorzy też lubią grać w komedii. Oczywiście znacznie łatwiej wystawić dramat czy sztukę psychologiczną, bo komedia należy do najtrudniejszych gatunków sztuki! Łatwiej i intratniej: krytyka pochwali, o teatrze pójdzie fama, że ambitny, że z głębią, że „nowoczesny”. Czy komedię można wystawić „nowocześnie”? Ale co rozumiemy przez to określenie?! Ja odróżniam jedynie dobrą sztukę od złej, czy złych i dobrych aktorów. A te wszystkie uduziwienia, które uchodzą za nowoczesność nie mogą mieć miejsca w czystej komedii, która jest jak matematyka — należy przeprowadzić działania i otrzymać logiczny wynik.

— Kto ze znanych aktorów był w pani teatrze?

Aktorka prawdziwa



JADWIGA CHOJNACKA

— M. in. Maria Malicka, Alicja Raciszówna, Kazimierz Opałński, Kazimierz Wiśniarz i Jerzy Antczak.

— A kto ze znanych reżyserów był pani studentem na Wydziale Reżyserii Filmowej? (J. Chojnacka wykladała tam „współpracę z aktorem”).

— Petelscy, Kutz, Wajda — jest się kim pochwalić!

— Niedawno w Poznaniu grała pani z ogromnym powodzeniem panią Dułską — Zapolską.

Ostatnio zbiera pani okłaski w „Celestynie” F. de Rojas, na scenach Wałbrzycha i Wrocławia — o ile wiem ten hiszpański dramat, zawierający w sobie ponury świat wyobrażeń średniowiecznych, okrucieństwo wydarzeń i tragiczną ironię wobec losów ludzkich, należy do sztuk „przypisanych” pani — grała w niej wielokrotnie, w różnym czasie w teatrach Poznania, Bydgoszczy, Torunia, Katowic.

— „Celestyna” to rola-piekło! Bogata aktorsko, trudna, jedna z najważniejszych w moim dorobku, za którą otrzymałam nagrodę artystyczną.

— Jak pani pracuje nad rolą?

— Postaram się wytłumaczyć to jak najprościej. Przede wszystkim staram się zrozumieć tekst roli, co autor pisze o tej postaci i co mówią o niej jej partnerzy, wtedy mogę logicznie wyprowadzić swoją interpretację, używając odpowiednich środków aktorskich, nadając jej odpowiednie cechy. I tak ją ustawić, aby zainteresować widza, aby mu nie pozwolić myśleć podczas spektaklu o czymś innym.

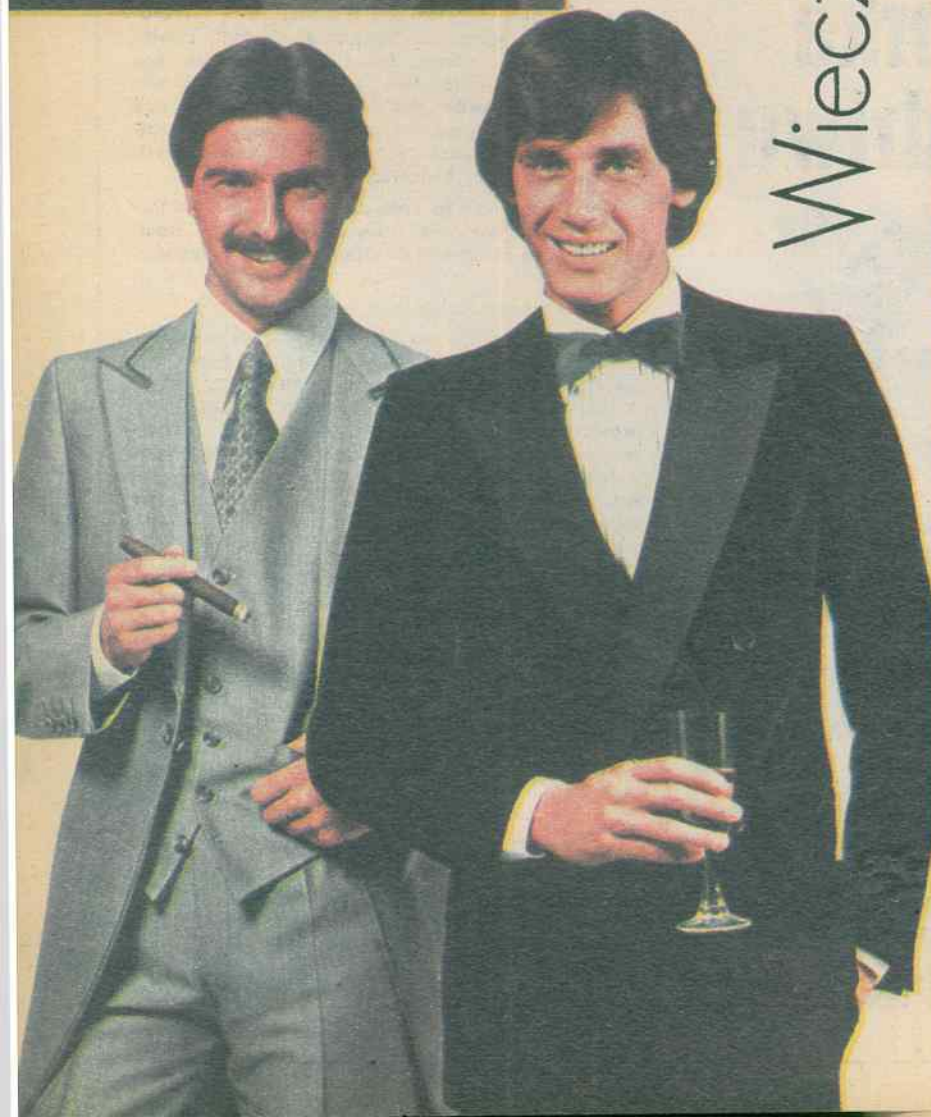
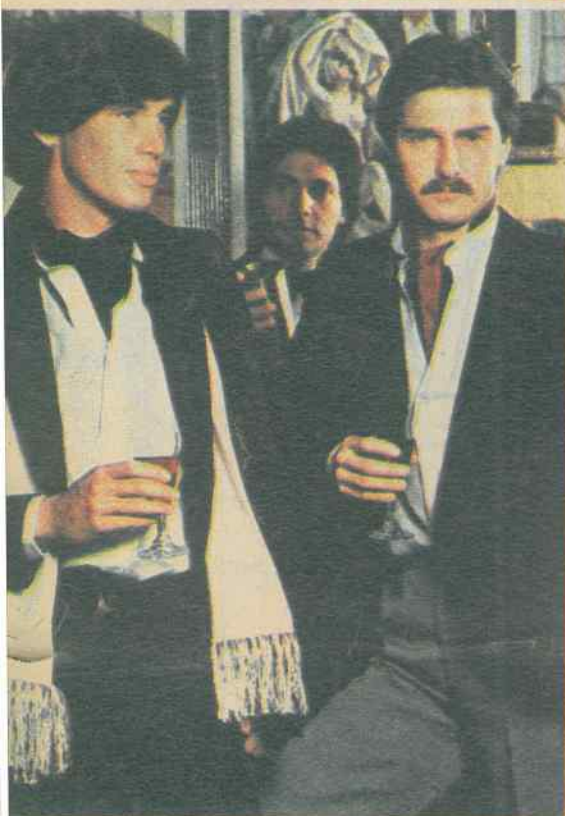
— Uczy pani od 25 lat — czy jest jakaś zauważalna różnica między pokoleniem powojennym a dzisiejszym?

— Chyba tak, dzisiaj młodzież jest bardziej czytana, dociekliwa, inteligentniejsza. Rozstając się z nimi, odczuwam zawsze autentyczny żal, że już nie będziemy razem pracować i że pewnie niektórzy z nich gdzieś się po drodze zagubią... Tak, bo w teatrze rzadko kto interesuje się młodym aktorem. Nasi inscenizatorzy nie są wykształceni w kierunku prowadzenia aktora: bardziej interesuje ich dekoracja, światło, muzyka...

— Czy aktorstwo to jest tzw. „życiowa prawda”?

— Czasem pani kłamie? I chce pani, by wydawało się to prawdą? To jest aktorstwo, tyle, że uprawiane profesjonalnie, perfekcyjnie.

Rozmawiała: ALINA BUDZIŃSKA



Wieczorem

Mężczyźni często zarzekają się, że moda wcale a wcale ich nie interesuje. Tymczasem (a potwierdzają to i testy i statystyki) absorbuje ich ona bardziej niż się do tego przyznają. Modnemu mężczyźnie nieobce są tajniki mody, przeznaczone zwłaszcza na okazje relaksowe, dzienne czy nawet popołudniowe. Potrafi on już bezbłędnie wybrać ze swojej szafy właściwe części garderoby, aby skompletować ubiór zdobiący go, a jednocześnie funkcjonalny. Projektanci mody wymyślili zresztą tyle przeróżnych męskich wdzianek, bluz, kamizeli i miękkich blezerów, że nietrudno o wybór.

Trochę trudności sprawia jeszcze modnemu mężczyźnie kompletowanie garderoby wieczorowej. Wprawdzie, dość sztywne w dawnym pojęciu życie towarzyskie ustępuje miejsca spotaniom niekonwencjonalnym, które preferują styl ubierania się bardzo swobodny, ostatnimi czasy obserwuje się jednak w ubiorze wieczorowym nawrót do klasyki. Zdziwieni są tym męskim zamówieniem nawet projektanci mody, którzy dopatrują się w nim buntu przeciw... zbyt wymiętoszonemu odzieniu dziennemu. No cóż, moda zawsze była trochę przekorna i przewrotna, w miejsce stylu i linii najprostszymi proponowała uduziwnione i skomplikowane. Może się więc z tą nową falą w męskiej modzie pogodzić?

Pewnie nie spotka ona wielu oporów, zwłaszcza wśród panów ubierających się awangardowo, w gruncie rzeczy bowiem, choć uwielbiają swój sterany latami wygodny sweter, chętnie przeobraziliby się w lwa salonowego, gdyby nie było z tym tak wiele zachodu.

Są zresztą wśród naszych propozycji również komplety wieczorowe, wygodne i niekonwencjonalne, większość mężczyzn zdecydowanie opowiada się bowiem za strojem swobodnym. Na te propozycje składają się komplety podobne do noszonych w ciągu dnia, a nawet na okazje relaksowe, tyle że uszyte z innych tkanin i o innej kolorystyce. Jest ona dość śmiała i choć króluje klasyczna czerń i biel, nie brakuje takich barw jak: granatowa, szara, czerwona, brązowa, niebieska i kości słoniowej. Wśród tkanin widzimy: flanele, gabardyny, cienkie wełniane sukna oraz wełniane dżerseje. Nowością są cienkie, delikatne sztruksy i aksamity, lamy i satyny oraz bawełny i lny. Z tych ostatnich materiałów szyje się właśnie wieczorowe ubiory niekonwencjonalne, o charakterze sportowym. Łączy się także ze sobą materiały o różnej fakturze, np.: flanelę z aksamitem, bawełnę z lamą, len z satyną.

Trzon kolekcji wieczorowej stanowią w dalszym ciągu smokingi, przez strony żurnali przewija się jednak także sporo typowych, wieczorowych garniturów, jedno- i dwurzędowych, szytych z klasycznej flaneli, sukna, jedwabiu, dżerseju a nawet welwetu. Garnitury mają klasyczną linię, są dość szczupłe, ale mają szersze ramiona. Spodnie są trochę węższe i równe na całej długości.

Dużą uwagę zwraca się na koszule. Mają one średnie kołnierze, ale w wydaniu awangardowym występuje wysoka stójka i kołnierz z zaokrąglonymi rogami. Spod rozchylonego kołnierza koszuli wyziera nieraz jedwabny szalik. Koszule są jednobarwne, najczęściej białe, ale także niebieskie, koloru skorupki jajka, a nawet różowe. Dużo muszek, kolorowych chustek w kieszonce marynarki oraz długich szali z frędzlami, niedbale zarzuconych na ramiona.

WERA SZTABOWA

Zdjęcia: Herrenjournal



S pod skąpego daszka nad wejściem do domu wyskoczył ktoś przeczekujący tam deszcz:

— To już nie ma nikogo, kto by za taką kobietą nosił torby ze sprawkami?

— Niech pan sobie wyobrazi, że nie ma.

— A ja nie mam za kim nosić. Nie, nie, zaniosę to pani pod same drzwi. A jeśli da pani herbaty, to poukładam w kuchni. Pracuję w Afryce. W zasadzie na pustyni. Człowiek tak odwyka od naszego klimatu, że byle deszczyk, to zaraz dreszcze i ból gardła.

Ach, jakże opiekuńcza była pani Wanda W.: herbata z wiśniówką i suszenie koszuli przy piekarniku. Ale także podziw dla jego smagłego gorsu przyziemionego pod afrykańskim słońcem.

Nazywa się Rajmund N. Jest inżynierem. Pracuje w Libii.

To pech — mówił — że cały długi urlop bez sensu samotnie kręcił się po kraju, zaspokajając chciwość dalszej rodziny, a Wandę W. poznał dopiero na kilka dni przed odjazdem. Tam, na pustyni człowiek jest samotny, a nie mając nikogo bliskiego, kto by czekał na niego w kraju, czuje się samotny podwójnie. Koledzy oszczędzają dolary w imię domów, które zbudują, żon, które obsprawią, dzieci, które obkupią. A jemu brak celu, dla którego pęcznieje jego konto.

Kiedy po trzech dniach odjeżdżał byli już umówieni: 42-letnia Wanda W., rozwódka od 20 lat i 34-letni inż. Rajmund N., że spędzą ze sobą resztę życia. On za rok wraca i nic go już nie skusi na powrotny wyjazd. Jej zadaniem będzie wyszukać, kupić i urządzić niewielki, przytulny dom, ale żeby koniecznie stał wśród drzew. Ich dom, do którego wróci oraz gdzie będzie niech nic nie pisze, ani nie przysyła zdjęć. Tam w Afryce co wieczór inaczej będzie go sobie wyobrażał, aż przyjedzie podniecony czekającą go niespodzianką.

— Jesteś dziecinny.

— Może. Ale przekażę na wszystko pieniądze.

Wanda W. przez te trzy doby widziała go po raz pierwszy i ostatni. Rzekomy Rajmund N. jej oszczędności wyplukał przez osobę podstawną, a wydał je na niejaką Elżbietę K.

Pani W., urzędniczka, ta 42-letnia Wanda właśnie, rychło dostała list od Rajmunda N. z Libii. Nie było co do tego wątpliwości, że z Libii, więc też ich nie miała: znaczek, pieczęć pocztowa, zdjęcie inżyniera na pustyni kolorowe bajecznie. List był ostro miłosny, niemal sprośny, ale miał też nie mniej ważne partie rzeczowe. Pisał, że kazał przekazać na jej konto 10 tys. dolarów USA, a to konto poecił otworzyć na imię Wandy W. w banku PeKaO. Niech się zgłosi za jakiś sześć tygodni do ekspozytury Banku w K. i dowie, czy przelew już nadszedł. Za kwartał przeleje jeszcze 3 tys. Wszystko na ten dom oczywiście, a jeśli będzie mało, ona może podejmować zobowiązania do kwoty łącznej 23 tys. dol.

Późniejsze dochodzenie wykazało, że rzekomy Rajmund N. nie był le-

niwy, bo poszedł do centrali handlu zagranicznego zajmującej się budowlami w Libii i szukał tam kogoś, kto właśnie wyjeżdża. Obcemu facetowi opowiedział historię, że starał się o wyjazd, ale nie miał szczęścia, tymczasem narzeczonej pochwalili się przedwcześnie i takie są układy, że zanim sobie tego wyjazdu nie wychodzi chce, żeby naręczona sądziła, że już tam pracuje. Od tego wszystko zależy, takie są dziś dziewczyny. Konkretnie prosi tylko o wrzucenie w Libii listu do Polski. Koperta zaadresowana była na Wandę W.

Nim minął ten sześciotygodniowy termin, kiedy pani W. miała pojechać do Banku PeKaO upominać się o swoje tysiące dolarów, przysłała do niej kobieta z liścikiem od Rajmunda N. Prosił o wypłacenie okazicielce 30 tys. zł w zamian za podpisanie oświadczenia, że osoba ta nie rości sobie żadnych więcej materialnych pretensji do byłego narzeczonego Rajmunda N.

Otóż była naręczona występowała w opowieściach inżyniera N. Puszczala się i wykorzystywała go finansowo na setki dolarów, a teraz żąda odczepnego pod pretekstem, że dla niego zrezygnowała z jakiegoś rzekomego kontraktu artystycznego.

Agnieszka Ch. była jedną z byłych naręczonych Rajmunda N. i przedstawiała dlań pewne niebezpieczeństwo. Ją jedną bowiem sprawował do domu, więc wiedziała gdzie mieszka. Obiecał się ożenić, a zanim zerwali, pożyczył 10 tys. zł i w tej sprawie go nachodziła. Obecnie powiedział, że dziewczyna odzyska forszę, jeśli pojedzie do niej jakiejś pani W., sama odbierze jego u niej należność, a nie będzie się z tą panią W. wdawać w żadne zwierzenia własne lub wysłuchiwanie zwierzeń tamtej, bo wtedy z forsy będą naci.

Dla panny Ch. to był duży pieniądz. Zgodziła się iść po pieniądze. Wanda W. chętnie poszła do kasy oszczędności podjąć prawie całą swoją gotówkową rezerwę, żeby dać tej małej jej odczepne. Była dumna, że Rajmund porzucił taką młodą, ładną dziewczynę, a z nią chce spędzić resztę życia we wspólnym domu za dolary.

Rzekomy Rajmund N. czekał na Agnieszkę Ch. na dworcu autobusowym. Tu mu wypłaciła 20 tys. złotych i się rozeszli bez urazy. Rajmund N. odetchnął, bo dziewczyna ciągle mu groziła, że przyjdzie z milicją. Potem kiedy powołano ją na świadka twierdziła, że co prawda wiedziała, że ów N. coś kręci, ale przypuszczała, że tamta kobieta istotnie jest mu winna pieniądze. Sądziła, że on dlatego uprzedza, by nie wspominała że jest w Polsce i czeka na dworcu, ani o innych swych sprawach, gdyż po prostu nie chce by go ta Wanda W. nagabywała, bo wyjaśniał, że ona się w nim kocha.

Uzyskane tą drogą pieniądze — czyli 20 tys. zł Rajmund N. przepuścił w tydzień z Elżbietą K. Była to młoda żona marynarza, którą poznał, przedstawiając się także jako

Rajmund N. — inżynier z Libii. Interesowała go bardzo, gdyż miała ładny, maty samochodzik i wszystkie wokół niej pachniało forszą. Zorientował się od razu, że ta zdobycz wymaga finansowego wkładu, gdyż gość bez grosza dla niej nie będzie się liczył. W tym fachu tylko dobry psycholog ma czego próbować. Wycofał się więc na razie i wrócił po dwóch tygodniach do pani K. już z forszą Wandy W. przeznaczoną na rozrzucenie: knajpy, prezenty, napiwki dla kelnerów. Po prostu pieniądze poszły na robienie efektu.

Po tygodniu romansowania przystąpił do rzeczy: poprosił żeby się rozwiodła ze swoim marynarzem i wyszła za niego. Zgodziła się, a wiedział, że musiał tu przebić jak w kartach. Tamten jej mąż jest prostym marynarzem, a on inżynierem. Pan N. zarabia 8 razy więcej, niż ten marynarz w dewizach. Tamten co parę tygodni przyjeżdża, a jego jako siedzącego w Libii na stałe Elżbieta K. będzie miała z głowy od razu na cztery lata. Jest więc o niebo lepszą partią.

Poszli do adwokata. Jeśli idzie o rozwód nie widział przeszkód: bezdzietni. Wrażliwa kobieta nie wytrzymuje rozłąki. Nadto napisze się, że Elżbieta goruje nad mężem wykształceniem, gdyż ma średnie i że marynarz jest chorobliwie zazdrośny czemu daje upust lejąc ją na przyjeźdnym.

— Teraz — rzekł Rajmund N. rzekomy — musimy zabezpieczyć twoje interesy.

Po pierwsze Ela musi wiać do matki na drugi koniec Polski, żeby jak marynarz przyjedzie i zobaczy odpis pozwu nie miał żony do bicia w zasięgu łapy. Po drugie całe jej mienie musi zniknąć, żeby tam nie było co dzielić na sprawie rozwodowej.

W wyniku operacji likwidacyjnej Rajmund N. odjechał mając ze sobą 4 walizki i worek damskiej garderoby, 146 tys. zł ze sprzedaży auta, 76 tys. zł ze sprzedaży mebli, telewizora kolorowego i innych co cenniejszych przedmiotów z mieszkania. 262 tys. oszczędności Elżbiety K. ze zlikwidowanej książeczki PKO i prawie 400 dolarów w bonach i gotówce ze zlikwidowanego konta dolarowego i z szuflady.

To właśnie ta Elżbieta K., żona marynarza, niepracująca osoba lat 23 data znać milicji — zgodnie zresztą z jego przewidywaniami, że Rajmund N., inżynier z Libii, stały adres taki i taki — popełnił oszustwo matrymonialne i zwiat z wszystkim co posiadała pod pretekstem zabezpieczenia dla niej jej mienia. N. z góry szedł na to ryzyko, że ona zawiadomi MO ponieważ imię przybrał fałszywe, nazwisko miał fałszywe, adres podał fałszywy, no i oczywiście nie był inżynierem, a Libię widział tylko na mapie, jeśli w ogóle.

Caty szkopuł polegał na tym, że rzekomy Rajmund N. kazał do siebie mówić swoim naręczonym „Rajek” — u Elżbiety K. nie zostawił po sobie żadnych śladów. Ani zdjęcia, ani próbki charakteru pisma. Pani K. mogła tylko opisywać jego piękny wygląd. Pocieszono ją, że wpadnie przy następnej lub kolejnej kobiecie, ale też trudno gwarantować,

że jej pieniądze będą się trzymać.

Tymczasem Wanda W., próżno czekając listu, przekazu walutowego, znaku życia od narzeczonego swego Rajmunda — poczęła go szukać i dowiedziała się, że taki inżynier w Libii nie istniał i nie istnieje. Nie zwróciła się do milicji. To instytucja, gdzie szukata narzeczonego, gdyż sądziła, że został przez nią wysłany do Afryki, data znać, że jakiś kanciarz udaje ich człowieka.

„Inżynier z Libii” — to pozwoliło połączyć wpadunek Wandy W., urzędniczki, wpadunek romantycznej głównie natury z rozczarowaniem niepracującej Elżbiety K. mającym głównie finansowy charakter. A Wanda W. dysponowała zdjęciem Rajmunda N. zaś Elżbieta K. rozpoznała na nim swojego narzeczonego.

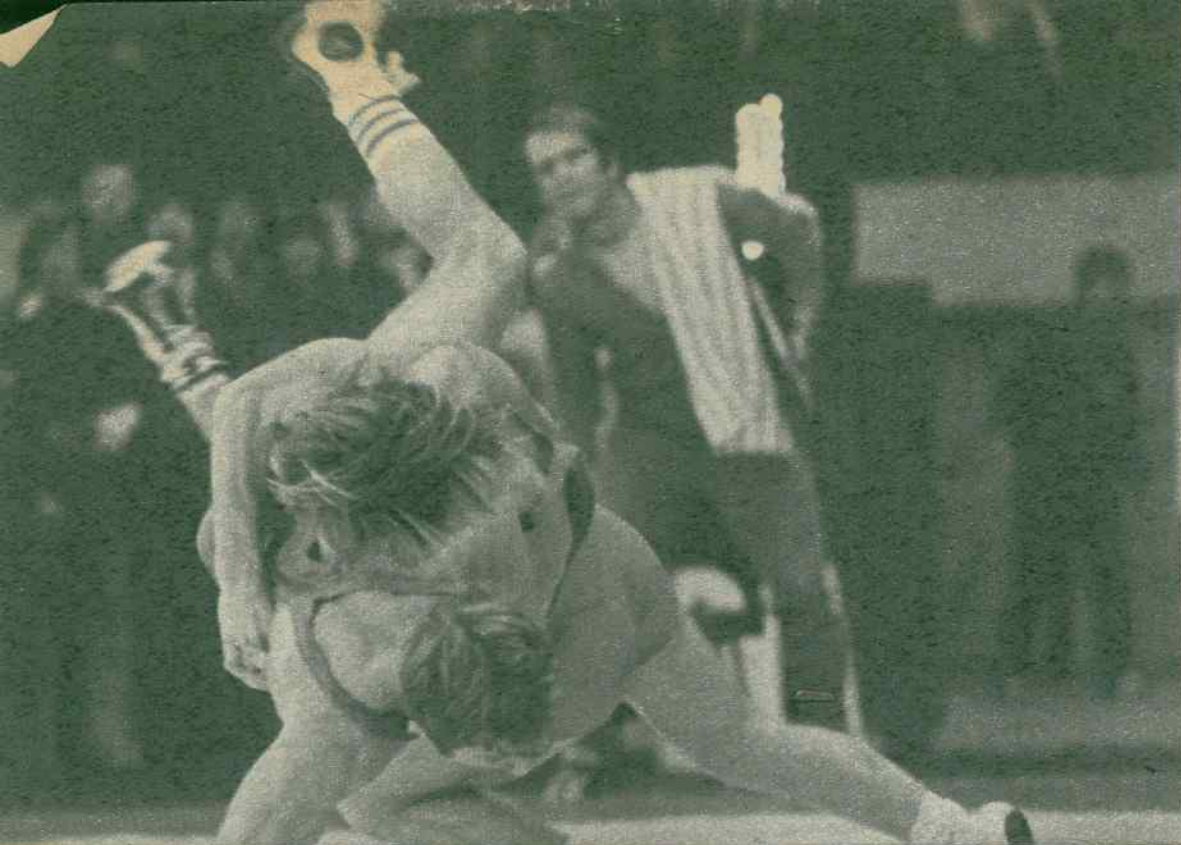
Wysłanie jej tego zdjęcia i rzeczywiście własnoręcznie napisanego listu było wielką nieostrożnością Rajmunda N. Zaktadał on i słuszenie, w oparciu o znajomość ludzi w ogóle, a kobiet szczególnie, że Wanda W. nie zwróci się przeciw niemu do milicji, więc nie bał się zostawić jej śladów swojej tożsamości. Nie przewidział, że w trakcie dochodzenia zdolają połączyć narzeczonego żony marynarza z amantem pani W.

Fotografia plażowa — było to i dużo i mało. Dużo, jeśli ten oszust już siadywał, mało jeśli nie figuruje w kryminalnych kartotekach. Otóż nie figurował. Ale pani W. miała dobrą pamięć. Zapamiętała nazwisko Agnieszki Ch., która jej się po prostu przedstawiła wchodząc do mieszkania. Agnieszka Ch. zaś — okazało się — znała adres Rajmunda N.

Poszukiwanego lokatora od dawna już tu nie było, ale też okazało się, że nie istniał w meldunkach żaden Rajmund N., lecz mieszkał tu pan Wiesław B., agent ubezpieczeniowy. I to było prawdziwe nazwisko oszusta.

Wiesława B., lat w rzeczywistości 38, odnaleziono szybko. Był legalnym, świeżo poślubionym mężem córki zamożnego cukiernika na prowincji i dzielnie pracował przy wypiekach, zdobywając nawet formalne kwalifikacje czeladnika tej branży.

Aresztowany Wiesław B. vel Rajmund N. okazał się być od dawna poszukiwanym oszustem matrymonialnym, występującym pod nazwiskiem Tomasz Z., pułkownik wywiadu, lub Arnold O., przemysłowiec z RFN. Na obietnicę ożenku nabral, wedle tego co w śledztwie udało się ustalić, 37 kobiet na łączną sumę 3.326 tys. złotych. Co się stało z pieniędzmi nie wiadomo, gdyż panna cukiernikówna przyczarowała go jako mężczyznę bez grosza i takim pokochała. Przepuścić tego by nie zdążył. Zresztą jak wynikało z zeznań był to człowiek raczej oszczędny i nigdy dotychczas — nieżonaty. Znaczy to, że także poza małżeństwem zdobyć można głębsze doświadczenie w obcowaniu z kobietami.



Zdjęcie: Antoni Labryga

Trzy medale

Z Meksyku, gdzie niedawno zakończyły się mistrzostwa świata w zapasach, polscy sportowcy przywieźli 3 medale. Startujący w stylu klasycznym Andrzej Supron i Kazimierz Lipień sięgnęli po srebro, natomiast debiutujący w kadrze narodowej seniorów 17-latek Roman Kierpacz wywalczył medal brązowy.

ZAPASY są sportem wymiernym. Z reguły wygrywają zawodnicy, którzy są lepiej przygotowani kondycyjnie, mają lepszą technikę i w czasie walki stawiają na atak. Może dlatego tak trudno wdrzeć się do elity najlepszych młodym niedoświadczonym jeszcze zawodnikom. Wśród fachowców panuje zgodna opinia, że dopiero po 10 latach systematycznego treningu można w tej dyscyplinie sportu osiągnąć mistrzowski poziom.

Nic też dziwnego, że gdy na szyi niewielkiego wzrostem Romana Kierpacza zawieszono brązowy medal, dziennikarze zgromadzeni w pięknej hali Juan de la Barrera pytali kierownictwo naszej ekipy:

— Skąd wzięliście tego chłopca? Kto to jest? Zawodnik GKS Katowice dokonał sztuki nie lada. Wdarł się przebojem do grona najlepszych i już w pierwszym swoim starciu sięgnął po trzecie miejsce na świecie. Do Meksyku pojechał trochę na kredyt. Trener naszej kadry narodowej Janusz Tracewski miał dobre przeczucie, wystawiając nikomu nieznanego debiutanta do tak poważnej próby. Startujący w wadze do 48 kg junior z Katowic po niefortunnym początku (przegrał w pierwszej rundzie) wykazał wielką odporność psychiczną. W kolejnym spotkaniu pokonał na punkty czwartego „kasyka” ostatniej olimpiady Japończyka Yoshitę Marikawę, by w końcu zmierzyć się już w walce o medal z groźnym Bułgarem Gunczewem. Polak nie przeląkł się sławy utytułowanego rywali. Cały czas prowadził otwartą walkę nie dając przeciwnikowi odpocząć nawet przez sekundę. Nagrodą było zwycięstwo i brązowy medal mistrzostw świata.

W rozmowie z Andrzejem Supronem zapytałem:

— Jak koleżdy z drużyny przyjęli medal zdobyty przez najmłodszego w ekipie?

— To był szlagier — mówi srebrny medalista z Meksyku. — Znam Romka bardzo dobrze. Na co dzień walczy w tym samym klubie GKS Katowice. Jest bardzo zdyscyplinowany i pracowity. W czasie mistrzostw świata zdarzyło się, że na jednej macie występował Janek Dołgowicz. Sławką tego pojedynku był srebrny medal, a na drugiej macie Romek Kierpacz walczył z Bułgarem o brąz. Oba pojedynki zakończyły się prawie jednocześnie. Dołgowicz, który był naszym faworytem — przegrał. Natomiast Kierpacz, na którego nikt nie liczył, odniósł zwycięstwo. Straciliśmy medal i niemal w tej samej sekundzie odzyskał go dla nas debiutant!

Andrzej Supron, dzieląc się swoimi wrażeniami z Meksyku, ciągle wraca do momentu, kiedy to w ostatniej fazie turnieju zostało w jego wadze tylko czterech zawodników z szansami na medal:

— Po losowaniu było już wiadomo, że chcąc sięgnąć po tytuł mistrza świata trzeba wygrać siedem walk. Okazuje się jednak, że przepisy w zapasach są niezbyt doskonałe. Wygrałem siedem walk i musiałem się zadowolić tytułem wicemistrza świata. Była taka sytuacja, że gdybym przegrał pojedynek z Bułgarem, miałbym złoty medal! Paradoks. Żeby stanąć na najwyższym podium trzeba było przegrać!

Już po raz drugi w tym roku zdarzyła się podobna historia. Po mistrzostwach Europy w Oslo wszystkie agencje prasowe podały wiadomość, że mam medal. Później okazało się, że zajęłem czwarte miejsce. Teraz było podobnie. Większość kibiców i dziennikarzy obserwujących mistrzostwa świata widziała we mnie mistrza świata. Gdy podliczono wszystkie punkty werdykt sędziowski brzmiał — medal srebrny! Myślę, że na olimpiadzie w Moskwie nie powinno już być takich niejasności. W swoich zbiorach brakuje mi medalu olimpijskiego.

Obok młodego Romana Kierpacza i Andrzeja Suprona cichym bohaterem tegorocznych mistrzostw świata był srebrny medalista Kazimierz Lipień.

Już na początku turnieju nabawił się bolesnej kontuzji ściągnięcia. Opuchnięty nadgarstek, blokada i — kolejne wygrane pojedynki z silnymi przeciwnikami. Czy w tej sytuacji można żądać od zawodnika czegoś więcej niż to co zrobił. Swoją srebrny medal zdobył praktycznie walcząc jedną ręką!

Gratulując medalistów naszym zapaśnikom, pamiętajmy, że trzeba naprawdę mieć silny charakter, by po licznych kontuzjach, jak to było w przypadku Andrzeja Suprona i Kazimierza Lipienia, stanąć na podium, które jest zarezerwowane tylko dla najlepszych.

MARIAN BIJOCH

Z AUTU

ALBO ALBO?

Ulubionym — ale nie jedynym, jak sądzą niektórzy — zajęciem naszych trenerów jest udzielanie wywiadów.

Na takie okazje trenerzy mają zwykle wcześniej przygotowaną, ciekawą, nową teorię. Reprezentowana przez nich dyscyplina sportu wzbogaca się w ten sposób, a podopieczni zyskują pożyteczną wiedzę teoretyczną.

Cechy wyróżniające większość obecnych trenerów to: długi staż zawodowy, młody wiek, stały optymizm i słaba odporność na kapryśny zwykle las.

Pomawianie trenerów o brak konkretnego zajęcia jest bezpodstawne. Do ich obowiązków należy bowiem prowadzenie rozsądnej polityki kadrowej. Trener musi powoływać odpowiednich ludzi, którzy właściwie sterowani — osiągną, wytyczone przez trenera, ambitne cele. Warunek powodzenia w ważnych imprezach to umiejętność zapowiadania przyszłego sukcesu. Jest to akurat mocna strona szkoleniowców i w tym względzie spokojni jesteśmy o to, że np. bokserzy utrzymują się na nogach dłużej niż by przeciwnicy sobie tego życzyli. Podobnie kajakerze, lekko- i ciężkoatleci nie wywalczą mniej niż przyzwyczajenie pozwoli.

W trakcie zawodów (mniej na ogół ciekawych od zapowiedzi), okazuje się często, że owszem, myliliśmy się zasadniczo.

Z racji tego, silne indywidualności trenerkie pojawiają się u nas na krótko, a schodzą w cień na długo.

Niesprawiedliwością wszelako byłoby mówić tu jedynie o trenerach, podczas gdy niektórzy nasi sportowcy radzą sobie w przeprowadzaniu swoich wyczynów równie dobrze, jak ci, co ich do tego przygotowują.

Można by z niewielkim tylko uszczerbkiem dla widowiskowości imprezy zamiast np. zawodów w skoku o tyczce, zorganizować turniej w zapowiadaniu bicia rekordów świata w tej dyscyplinie. Wyższe obecnie wykształcenie ogólne naszych sportowców każe sądzić, że w przyszłości zawodnicy chętniej oddadzą się teorii, niż zajęciom praktycznym.

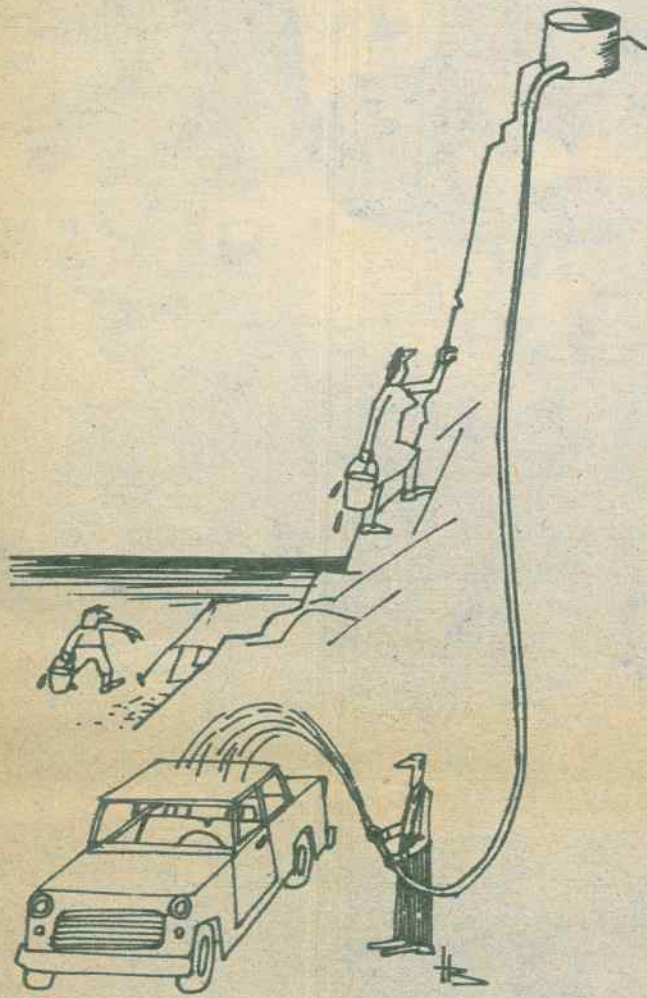
Idąc dalej, trzeba się liczyć z tym, że na zawody z udziałem wybitnych sportowców (teoretyków) trzeba będzie wziąć ze sobą ich najnowsze dzieła zebrane, by móc wykupić bilet wstępu. Nie będą już miały wówczas sensu dręczące dziś sportowców pytania w rodzaju: jaka była zależność między jakością wyników a ilością widzów, czy też ilością wyników, a jakością widzów.

Ale póki jesteśmy u progu tych czasów, kiedy powszechnie średnio wykształcony miłośnik sportu odnajdzie w nim nieprzebrane dziś wartości, wskazać należy na inne tendencje obecnego, przejściowego okresu.

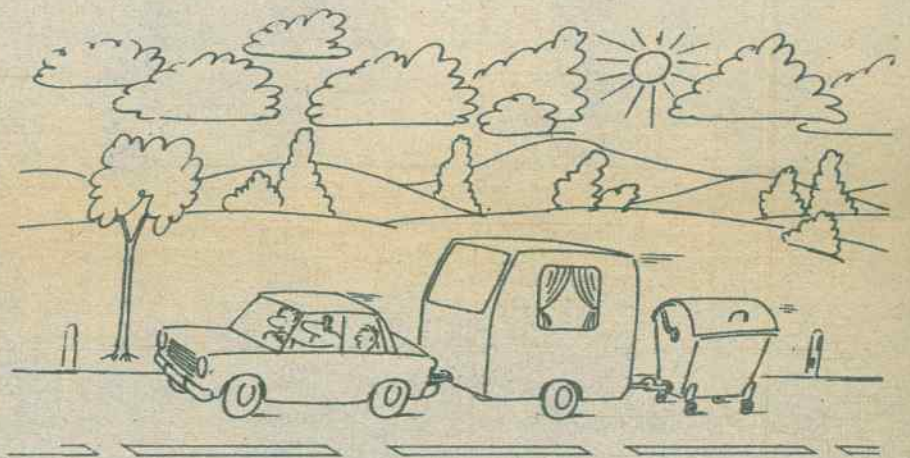
Otóż zarówno wśród zawodników, jak i trenerów wylaniają się jednostki silnie zachowawcze lub wręcz wsteczne. Są to zwolennicy instynktu siły i zwycięstwa za wszelką cenę. Jeśli przesadnych nawet wyznawców „nauki” uważać można za mało szkodliwych lub zgoła pożytecznych dla sportu, (wnoszą doń bowiem zapomniany element zabawy!) — to „frakcje konserwatywne” przyprowadzić muszą o zażenowanie w obliczu wysoko wyrastających dzieci, obydwu wreszcie ugrupowań, złączonych wspólnym nawiasem sportu.

Ważne szanse na zwycięstwo ma człowiek uzbrojony głęboką wiarą w siłę nauki o odruchach, jeśli przeciwstawi mu się osobnika, który ma siłę w rękach i wierzy bezwarunkowo, że tamten też chce go wykończyć. Ale to już chyba poza nawiasem?

JERZY MICIĄK



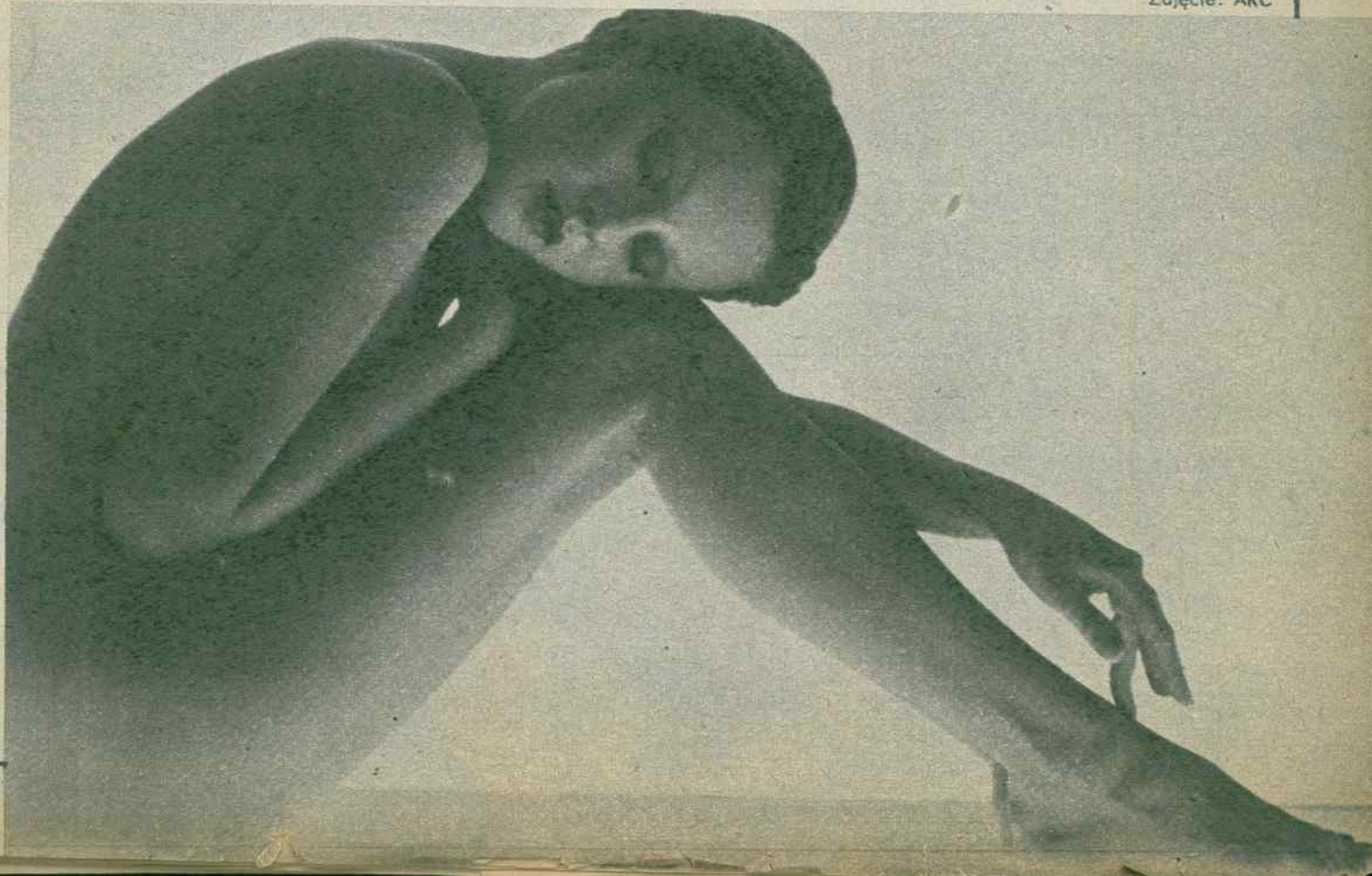
— Nigdzie nie odchodźcie, za godzinę będzie obiad!



Zdjęcie: ARC

Urlup na kółkach

(„Eulenspiegel“, „Dikobraz“, ARC)



Zdjęcie: ANTONI LABRYGA

